



MYŚLIWIEC

KRAKOWSKI

KWARTALNIK PRZYRODNICZO - ŁOWIECKI



JESIEŃ-ZIMA 2024 (41.42)
KRAKÓW



Kolejne wieści z piaskownicy Mikołajka (już bez Olusia)

- czyli o sypaniu żwiru w oczy

Szanowne Koleżanki, Szanowni Koledzy!

Na samym początku chciałbym zaznaczyć, że do powyższego tytułu nie wkradł się żaden dziennikarski chochlik i ewidentnie chodziło mi o żwir, a nie o piasek. Skąd ta zmiana i nagły wzrost uziarnienia w tytule? Powód jest prosty! Nieczystej gry Mikołaja Dorożały, jaką stosuje w stosunku do nas, myśliwych, w mym odczuciu nie można już nazywać sypaniem piaskiem ... po którym należy przemyć oczy i można dalej poprawnie funkcjonować. Obecnie w naszym kierunku rzucający jest żwir oszczerstw oraz kamienie kłamstw i to w jednym celu, aby przekonać społeczeństwo do likwidacji łowiectwa w Polsce. Mikołaj Dorożała – „zwierzę medialne” – jak go nazwał jeden z naszych redakcyjnych kolegów – wykorzystuje w tym celu liczne media, a swymi wypowiedziami lub wpisami, które opiera na niedomówieniach, półprawdach, a nawet kłamstwach stara się grać na ludzkich emocjach w jednym celu – obrzydzenia społeczeństwu nas, myśliwych. Ten państwowy urzędnik, który wydawać by się mogło, powinien wspierać naszą grupę, a nie ją zwalczać i szkalować, po części osiągnął już swój cel. Udało mu się poszerzyć grupę naszych przeciwników o środowiska i osoby, które do tej pory niewiele – bądź wcale – wiedziały o łowiectwie, a które w większości kłamliwe wypowiedzi pana Dorożały traktują jako objawioną i niezaprzeczną prawdę. Być może „zmęczył” też jakąś – bliżej nieokreśloną pod względem liczebności – gru-

pę naszych Koleżanek i Kolegów, które obawiając się o przyszłość polskiego łowiectwa, chętnie oddałyby jarzabka i poddały się badaniom lekarskim, aby mieć przysłowiowy święty spokój, o czym próbuje nas przekonać pan wiceminister swym wpisem na Facebooku z 7 września 2024 r. Zapewne w przestrzeni medialnej pojawią się jeszcze nie raz jego jadowite i nieprawdziwe stwierdzenia oraz komentarze, które przyjdzie nam dementować. Nie ułatwiamy mu tego zadania i wykażmy się większą roztropnością w mediach społecznościowych, a widok upolowanych zwierząt zostawmy dla siebie. Jednocześnie pamiętajmy, że godziny, dni a nawet lata spędzone na ambonach nauczyły nas wytrwałości, bo na zrzucenie Mikołajka z „ministerialnego stolka” przyjdzie nam zapewne jeszcze długo poczekać. Ale w końcu to nastąpi, bo nic nie trwa wiecznie...

Wasz Redaktor Naczelny



dr hab. inż. Marek Wajdzik,
prof. URK
leśnik, pracownik naukowy
Uniwersytetu Rolniczego
w Krakowie, wykładowca
Gospodarki łowieckiej

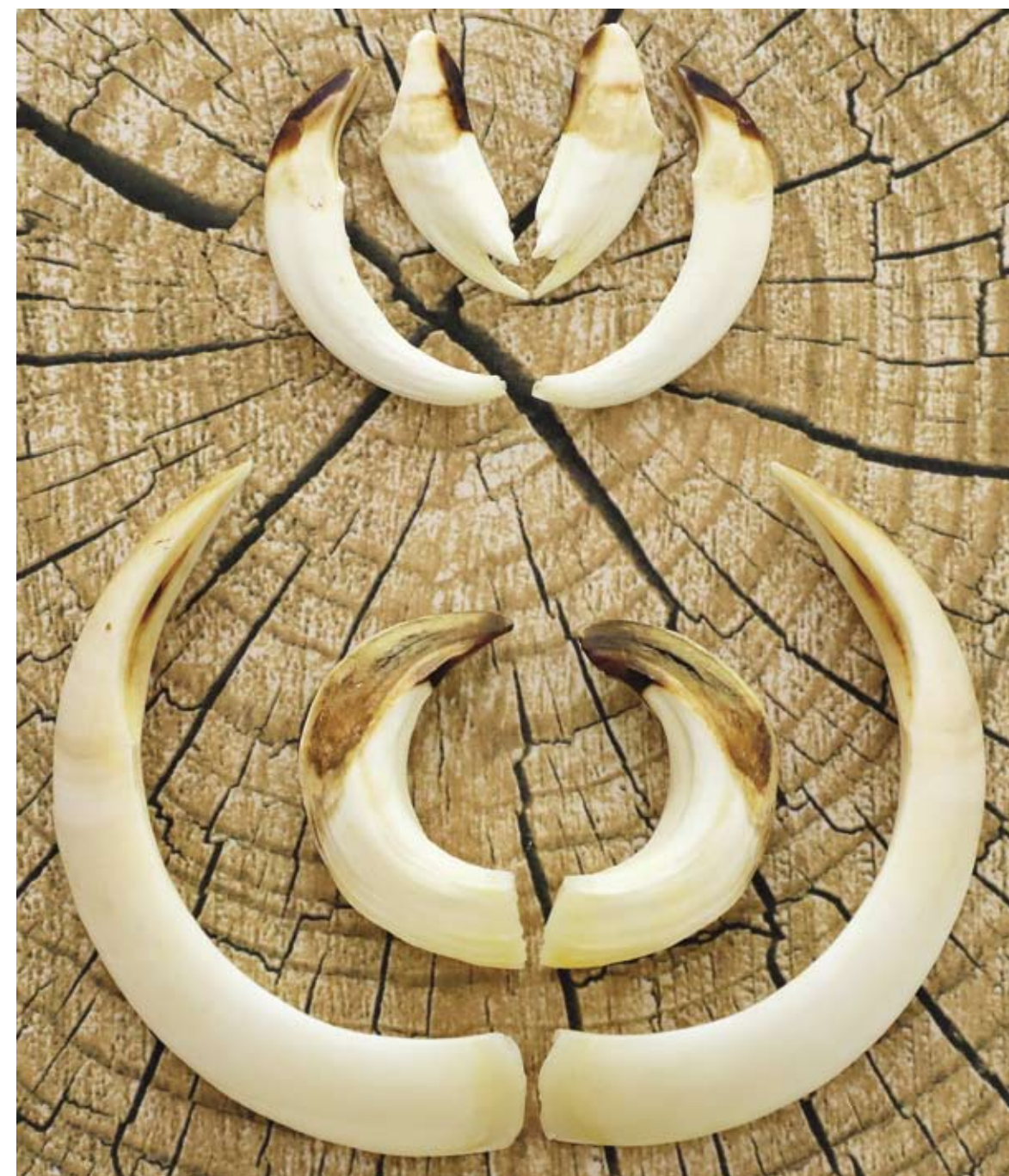


Dzicze „myłkusy” czyli o anomaliach oręży stów kilka

Dariusz Knap

Dzik (*Sus scrofa*) jest jedynym reprezentantem dziko żyjących świniowatych w Europie. Gatunek ten jest typowym wszystkożercą, w którego diecie pokarm roślinny stanowi około 75 - 90%, a reszta to pokarm zwierzęcy. Rośliny uprawne stanowią jedną trzecią całego spożywanego przez niego pokarmu. Głównym pożywieniem dzika są: trawy, zioła, krzewy, liście, korzenie, owoce leśne, żołądźcie, bukiw, jagody, grzyby oraz żyjące w ściółce leśnej i glebie pierścienice, wije, pajęczaki oraz owady i ich larwy. Ponadto dzik zjada ślimaki, ryby, płazy, gady, jaja ptasie, małe gryzonie, młode ptaki i mniejsze ssaki, które uda mu się upolować (przeważnie chore osobniki i postrzałki) oraz padlinę. Największym przysmakiem dzika są jednak: żołądźcie i bukiw. Dzik, z braku dostatecznej karmy w lesie oraz zmiany swego behawioru, chętnie wychodzi na pola i tam zjada: ziemniaki, buraki, rzepę, marchew, zboże (lubi obłuskiwać dojrzewający młocny owies) oraz wszelkie rośliny strączkowe. Dziki na łąkach i pastwiskach buchtują w poszukiwaniu dżdżownic, w szcze-

gólności po deszczu, kiedy wychodzą one na powierzchnię. W lesie gatunek ten jest bardzo pożyteczny, gdyż oddaje nieocenione usługi jako naturalny pług umożliwiający samosiew, a przez zjadanie wszelkiego rodzaju owadów, ich larw i poczwerek, przyczynia się do zwalczania szkodliwych bezkręgowców. Niezbędnym „narzędziem” do zdobywania ww. pożywienia i jego „przetwarzania” jest uzębienie składające się u dorosłego dzika z 44 zębów o następującej formule 3-1-4-3 / 3-1-4-3 (ryc. 1).



U dorosłych osobników męskich kły są silnie rozwinięte i wystają ponad wargę. Imponujące są szczególnie dolne (szable), które są długie (do 30 cm), szablasto wygięte i mają trójkątny przekrój. Górne (fajki), spełniające rolę oselki, o którą ścierają się szable, są mniejsze i na przekroju owalne. Zbudowane są one z zębiny pokrytej grubą warstwą twardego szkliwa. Kły loch są znacznie krótsze, mniejsze i na zewnątrz niewidoczne (ryc. 2).

Oręż pełni nie tylko funkcje obronne, lecz jest także ważnym narzędziem ułatwiającym buchtowanie, przecinanie korzeni i zdobywanie pożywienia. Co roku odyniec ściera nawet do 3 cm szabel, a ubytek ten jest uzupełniany przez stały ich wzrost w części przypodstawnej. U samic dzika (loch) otwór korzeniowy kłów z wiekiem stopniowo zwęża się, początkowo ograniczając, a w wieku 5-6 lat kończąc ich dalszy wzrost.

Oręż, a więc szable (kły zuchwy) oraz fajki (kły szczęki) stanowi najważniejsze dzicze trofeum. W celu jego prawidłowego wypręparowania należy wykonać cięcie (po oskórowaniu gwizdu i zuchwy) za czwartym zębem przedtrzonowym (niektórzy zalecają nawet między pierwszym, a drugim trzonowcem), gdyż 2/3 długości szabli znajduje się w zuchwie. Zbyt krótkie cięcie może spowodować uszkodzenie nasady oręża. Po wygotowaniu (około 45 minut) oręż pozostawiamy w wodzie do ostudzenia. Nie wolno wyjmować oręża z gorącej wody i go hartować, gdyż takie postępowanie niechybnie doprowadzi do jego pęknięcia. Następnie wyważamy fajki z zębodołów, a szable wyjmujemy wciskając wystające na zewnątrz ich końcówki do wnętrza zuchwy. W tym celu kilkakrotnie naciskamy na końcówkę do oporu, zanim nastąpi jej rozluźnienie w zębodole, po czym już łatwo całą szablę przepychamy poprzez wnętrze odciętego odcinka zuchwy na zewnątrz. Przy wyjmowaniu nie należy chwycić szabli jakimkolwiek metalowym narzędziem z racji tego, że mogą pęknąć. Należy to robić owijając kły np. plastrem opatrunkowym, dzięki któremu łatwiej je uchwycić. Po wyjęciu oręż należy oczyścić i pozbawić miazgi zębowej, wysuszyć (z dala od źródła ciepła), a następnie posmarować np. oliwką lub wazeliną, co zabezpiecza go przed wysychaniem i pękaniem. Wnętrze należy wypełnić np. wikołem lub klejem epoksydowym dwuskładnikowym. Na podstawie pomiarów szabli można określić wiek odyńca, gdyż z wiekiem zmienia się stosunek szerokości u podstawy szabli

do jej szerokości tuż przy tzw. szlifie. Przyjmuje się, że u przelatki stosunek ten wynosi około 1,80, a u starego odyńca (pow. 10 lat) jest zbliżony do jedności (tab. 1).

Oceny wieku (wg metody Brandta) dokonujemy poprzez pomiar średnicy szabli u nasady (1 cm od krawędzi) i w miejscu, gdzie zaczyna się szlif (ryc. 3).



Rycina 3. Miejsca na szabli, w których dokonujemy pomiaru, aby określić wiek dzika

Dzieląc średnicę szabli przy nasadzie przez średnicę szabli przy powierzchni starcia otrzymujemy wartość wskaźnika, na podstawie którego z tablic odczytujemy wiek osobnika.

W przypadku dzikich zwierząt patologia stomatologiczna nie jest jeszcze dobrze poznana. Szczególnie dotyczy to dzika, gdyż jego uzębienie jest rzadko analizowane przez myśliwych, w odróżnieniu choćby od samców jeleniowatych, których czaszki podlegają preparacji z urzędu.

Przy dzikich orężach, szczególnie u samców, możemy zaobserwować anomalie wywołane czynnikami chorobotwórczymi czy też mechanicznymi. Uszkodzenia mechaniczne należą do najczęstszych i mogą powstawać podczas walki dwóch odyńców, czy być wynikiem np. uszkodzenia przez narzędzia kłusownicze (wnyki, potrzaski). Znając biologię tego zwierzęcia wiemy, że średni roczny przyrost szabli, to nawet 3 cm. Przy tak dużym rocznym jej przyroście, bez możliwości jej ścierania, po

kilku latach zdarzają się przypadki wrastania ich szczytu w zuchwę. Taki przypadek jest dla zwierzęcia bardzo bolesny i uniemożliwia prawidłowe pobieranie pożywienia.

O dziku krążą legendy, jest bohaterem wierszy, w jednym z nich polski poeta Jan Brzechwa napisał: „Dzik jest dziki, dzik jest zły, dzik ma bardzo ostre kły. Kto spotyka w lesie dzika, ten na drzewo szybko zmyka”. Nie zawsze, jak się okazuje, jest to prawdą, choć znane są przypadki ataków dzików na człowieka.

Z myśliwskim „Darzbór”



Dariusz Knap

Członek Komisji Edukacji NRŁ, prezes Oddziału Chęcińskiego Klubu Kolekcjonera i Kultury Łowieckiej PZŁ, edukator łowiecki, kronikarz, autor wielu artykułów o tematyce łowieckiej, twórca rzemiosła artystycznego o tematyce myśliwskiej

Wiek (lata)	Wartość wskaźnika (indeks Brandta)
Przelatki	1,80
2-3	1,50
3-4	1,35
4-5	1,25
5-6	1,17
6-7	1,10
7-8	1,06
8-9	1,04
9-10	1,02
powyżej 10	1,00



Kulisy wegańskiej krucjaty

Jarosław Całka



Zagrożeniem przyszłości jest ekologia, która zamiast służyć planecie i ludziom, wykorzystuje demagogię do siania strachu i walki o władzę. Jakie są motywy działania wielu znanych organizacji proekologicznych?

Artykuł w wersji skróconej ukazał się w TAP 6/2024, poniżej prezentujemy pełną wersję tekstu.

Wprowadzanie w życie przez Komisję Europejską Zielonego Ładu było iskrą, która wzniciła wybuch niezadowolenia producentów żywności w Polsce i wielu krajach Unii Europejskiej. Wszystkich zaskoczyła siła i skala rolniczych protestów. Niespodziewanie z dnia na dzień okazało się, że lansowany przez aktywistów ekologicznych i obrońców praw zwierząt plan proekologicznej transformacji europejskiego rolnictwa runął w gruzach.

Uderzenie w produkcyjne rolnictwo

Wprowadzenie w życie postulatów takich jak: ograniczenie, a wręcz rezygnacja ze stosowania środków ochrony roślin i nawozów sztucznych, wyśrubowane wymagania dobrostanowe w hodowli zwierząt, a najlepiej całkowite zaniechanie hodowli zwierząt jako nieetycznej postulowane przez środowisko wegan, nierozzerwalnie prowadzą do olbrzymiego spadku wydajności w rolnictwie i w oczywisty sposób spowodują bankructwo wielu gospodarstw rolnych. Niekwestionowanym skutkiem wdrożenia Zielonego Ładu w obecnym kształcie byłby dotkliwy wzrost cen artykułów żywnościowych oraz cofnięcie się rolnictwa o kilkadziesiąt lat wstecz. Groźny byłby także spadek konkurencyjności europejskiego rolnictwa w stosunku do pozauijnych dostawców. Nie trudno dostrzec, że rolnictwo stało się poligonem doświadczalnym i pierwszą ofiarą ekologicznej krucjaty wegańskich ideologów, chociaż emituje tylko około 8% dwutlenku węgla.

Polityczne rozgrywki

Polityczną siłą ruchu ekologicznego w Europie Zachodniej wiele lat temu dostrzegła i najprawdopodobniej wielokrotnie wykorzystywała dyplomacja rosyjska. Dziennikarskie śledztwa udowodniły, że Rosja dyskretnie finansuje wybrane organizacje ekologiczne w krajach Europy Zachodniej. Aktywność Rosjan w tym obszarze łączy się z zamknięciem w Republice Federalnej Niemiec kilkunastu zeroemisyjnych elektrowni jądrowych, co otworzyło rynek zbytu dla rosyjskiego gazu ziemnego dostarczanego do Niemiec gazociągami Nord Stream. Warto zauważyć, że niemieckie organizacje ekologiczne bardzo anemicznie sprzeciwiały się budowie gazociągów Nord Stream 1 i 2. Niewątpliwym skutkiem tych działań jest uzależnienie całej niemieckiej gospodarki od rosyjskiego gazu, kryzys energetyczny, terazniejsza stagnacja w niemieckiej gospodarce i finalnie powrót do wysokoemisyjnej energetyki węgla brunatnego.

Podobny mechanizm, angażujący protesty duńskich i polskich ekologów, obserwowaliśmy podczas budowy duńskiej części gazociągu Baltic Pipe zaopatrującego Polskę w norweski gaz ziemny. Tym razem duńscy ekolodzy próbowali zablokować budowę strategicznego dla Polski gazociągu argumentując to koniecznością zachowania chronionych gatunków myszy leśnej i nietoperza znalezionych w śladzie przebiegu gazociągu. Budowę gazociągu krytykował też Green Peace Polska. Nie sposób nie odnotować istotnego rosyjskiego interesu politycznego powyższej blokady w kon-

tekście późniejszej inwazji Rosji na Ukrainę i gazowego szantażu całej Europy odcinaniem dostaw gazu ziemnego z Rosji. Gdyby nie Baltic Pipe, Polska do dziś tkwiłaby w głębokim kryzysie energetycznym. Gazociąg Baltic pipe z przepustowością 10 mld m³ rocznie umożliwia obecnie zaspokojenie ponad 50% zapotrzebowania Polski na gaz ziemny.

Jak to się stało, że tworzące Zielony Ład pragmatyczne brukselskie, ale także polskie elity, poddały się sugestiom ekologicznych aktywistów i obrońców praw zwierząt nie biorąc pod uwagę negatywnych realiów ekonomicznych, społecznych, a nawet medycznych weganizacji Europy? Skąd bierze się niezaprzeczalna polityczna skuteczność organizacji i fundacji ekologicznych? Gdzie leży granica między potocznie rozumianą i społecznie akceptowaną ekologią, a ekologicznym terroryzmem? Czy rozwijający się w ostatnich latach ekoterroryzm nie ma przypadkiem swoich korzeni w sposobie finansowania organizacji ekologicznych? I najważniejsze, czy ich struktura organizacyjna, a szczególnie sposób finansowania czyni je odpornymi na biznesowe i polityczne oczekiwania darczyńców i sponsorów?

Najważniejsze są pieniądze

Większość z nas postrzega organizacje i fundacje ekologiczne jako stowarzyszenia zaangażowanych społeczników walczących o szczytne ekologiczne i klimatyczne cele. Ten wyidealizowany obraz jest tylko w części prawdziwy, gdyż dotyczy głównie emocjonalnie zaangażowanych społeczników nieotrzymujących za swą pracę gratyfikacji finansowej. Jednak trudno sobie wyobrazić nawet dobrze zorganizowanych, ale pozbawionych funduszy społeczników, którzy byliby w stanie organizować kosztowne ogólnokrajowe kampanie informacyjne z wykorzystaniem mediów społecznościowych, prasy, radia i telewizji, na masową skalę. Jest to niemożliwe ze względu na bardzo duże koszty takich przedsięwzięć. Krótko mówiąc, fundacje do realizacji swoich celów potrzebują wysoko opłacanych specjalistów, a więc również pieniędzy. Fundacje ekologiczne także zwykle postrzegamy jako bezinteresowne grupy młodych ludzi spontanicznie ratujące bezdomne psy i koty, czy protestujące przeciwko wycince drzew. Większość z nas przeżyje jednak szok przeglądając dostępną w Internecie listę stanowisk specjalistów i wynagrodzeń osób w nich zatrudnionych. Na przykład, Stowarzyszenie Otwarte Klatki, losowo wybrane jako jedna z kilku znaczących (obok WWF Polska i Greenpeace Polska) proekologicznych fundacji działających w Polsce, publikuje w Internecie następujące dane.

Stowarzyszenie zatrudnia obecnie 42 osoby. Oto lista tylko niektórych specjalistów i ich aktualne wynagrodzenia miesięczne:

Menadżer ds. Budowania Relacji z Darczyńcami – 8,620.07 zł brutto

Menadżer ds. Fundraisingu (Menadżer ds. zbierania funduszy) – 7,917.69 zł brutto

Specjalista ds. Relacji Biznesowych – 8,109.25 zł brutto

Specjalista ds. People Operations (Specjalista ds. sterowania ludźmi) – 7,789.99 zł brutto.

Dyrektor ds. Zmian Społecznych – 10,791.05 zł brutto

Menadżer ds. Kampanii Społecznych – 9,450.15 zł brutto

Menadżer ds. Public Relations (Menadżer ds. polityki informacyjnej) – 9,960.97 zł brutto

Dyrektor ds. Kampanii – 11,365.72 zł brutto

Menadżer ds. Budowania Relacji Indywidualnych – 8,875.48 zł brutto

Menadżer ds. Kluczowych Partnerów – 9,833.27 zł brutto

Dyrektor ds. Śledztw i Interwencji – 11,940.39 zł brutto

Specjalista ds. Rozwoju Kampanii Roślinnych (Specjalista ds. promocji weganizmu) – 7,726.14 zł brutto

Graphic Designer (Projektant grafiki) – 8,939.33 zł brutto

Specjalista Zarządzania Produkcją Video – 8,173.10 zł brutto

Communications and Linguistic Content Manager (Menadżer ds. komunikacji i treści językowych) – 9,769.41 zł brutto

Menadżer ds. Produkcji Eventowej i Komercyjnej – 9,960.97 zł brutto

Movement Building Manager (Kierownik budowy ruchu [fundacji]) – 10,471.79 zł brutto

Menadżer ds. Organizacji Eventów (Menadżer ds. organizacji wydarzeń społecznych) – 9,267.07 zł brutto

Specjalista ds. Rzecznictwa – 6,768.35 zł brutto

Fotoreporter – 11,748.84 zł brutto

Director of Global Development (Dyrektor ds. globalnego rozwoju [fundacji]) – 11,110.31 zł brutto

Menadżer ds. Budowania Strategii w Europie Wschodniej – 8,364.66 zł brutto

Korporacja w pigułce

Zaledwie pobieżna analiza tej listy jednoznacznie ukazuje kadrowo-korporacyjną strukturę organizacyjną Otwartych Klatek, którą tworzą dobrze opłacani specjaliści zajmujący się inżynierią społeczną - definiowaną przez Encyklopedię

PWN jako „...przeprowadzanie zmian społecznych według ustalonego projektu”. Jak wynika z nazw etatów pracownicy Otwartych Klatek zajmują się między innymi:

- zbieraniem funduszy i działalnością biznesową (co najmniej sześć osób z pełnej 42 osobowej listy);

- wprowadzaniem zmian społecznych zgodnych z programem stowarzyszenia;

- wprowadzaniem zmian prawnych promujących ideologię wegańską;

- organizowaniem kampanii biznesowych, społecznych i edukacyjnych popularyzujących program fundacji;

- przygotowaniem materiałów informacyjno-propagandowych, video i grafiki (infografiki) dla mediów, szczególnie dla Internetu i współpracą z mediami;

- inicjowaniem i nagłaśnianiem w mediach śledztw prowadzonych przez fundację w celu polaryzacji społeczeństwa i budowania zaplecza społecznego dla fundacji;

- ekspansją firmy w Polsce, Europie i na świecie;

- kontaktami i wymianą doświadczeń z partnerami zagranicznymi.

Nagonka na rolnika

Rolnicy i właściciele ferm hodowlanych najczęściej nie zdają sobie sprawy z kim przyjdzie im się mierzyć, gdy w bramie swojego gospodarstwa zobaczą grupę aktywistów z transparentem np. Otwartych Klatek. W rzeczywistości właściciel fermy jest bezbronny wobec przemocy kilkudziesięcioosobowej maszyny korporacyjnej dysponującej budżetem 11 milionów złotych i dodatkowo wspieranej przez działania medialne. Aktywiści, a raczej profesjonalści, realizując program fundacji wykorzystują sprawdzoną w wielu krajach Zachodu strategię szantażu społecznego. W obecności kamer żądają poprawy dobrostanu zwierząt, a następnie w mediach społecznościowych, lokalnej prasie, radiu i telewizji, prowadzą nagonkę na właściciela. Bezbronny i osamotniony właściciel jest w ten sposób społecznie stygmatyzowany. Nagonkę wspiera szerzący się w Internecie hejt mający zdyskredytować hodowcę i podburzyć lokalną społeczność przeciwko funkcjonowaniu gospodarstwa. Ciosem nokautującym dla hodowcy bywa wizyta w gospodarstwie znanej ze wspierania ekologów ogólnokrajowej stacji telewizyjnej, która następnie na całą Polskę emituje program przedstawiający właściciela i jego przedsiębiorstwo rolnicze w atmosferze skandalu. Taki komunikat jest zwykle tendencyjny i nawet jeśli pojawia się w nim próby argumentacji właściciela, to są one celowo w nim marginalizowane. Poka-

zanie w telewizji krajowej, a nawet lokalnej, właściciela hodowli w roli negatywnego bohatera odpowiedzialnego za cierpienie zwierząt praktycznie wyklucza go z lokalnej społeczności, a u innych hodowców budzi lęk, że również mogą się stać celem takiego ataku.

Od poprawy dobrostanu do zamknięcia fermy

Zwykle doraźnym celem akcji jest poprawa warunków utrzymania zwierząt lub inna argumentacja, np. proklimatyczna, jednak dążeniem dalekosiędnym jest zamknięcie fermy i wprowadzenie powszechnego weganizmu. Stowarzyszenie Otwarte Klatki promocję weganizmu ma zapisaną w swoim statucie. Greenpeace Polska i WWF Polska również propagują weganizm. Do zamknięcia fermy mają doprowadzić pikety i niekończące się żądania poprawy dobrostanu zwierząt czyniące hodowlę nieopłacalną (brzmi znajomo). Upadek hodowli zwierząt mają przyspieszyć propozycje dodatkowego opodatkowania mięsa zgłaszane przez aktywistów, a nawet przez niektórych posłów. Świadomość opisanego powyżej zagrożenia polegająca na stygmatyzacji, nękanii, a potem wykluczeniu społecznym, budzi szczególnie obawy wśród hodowców zwierząt. Rolnicy widzą z jaką zaciekłością i konsekwencją ten scenariusz od lat jest realizowany przez lobby proekologiczne w stosunku do myśliwych. Trudno nie dopatrzeć się w tych działaniach znamion programowego ekoterroryzmu. Rolnicy mają tego dość i między innymi dlatego protestują przeciwko Zielonemu Ładowi.

Programowy ekoterroryzm

Zastanawiająca jest długość listy etatowych pracowników fundacji (42 osoby), którą przeciętny Polak kojarzy z protestami małych grup społecznych aktywistów przed fermami drobiu. Nic bardziej mylnego. Organizowanie lokalnych protestów to tylko wierzchołek góry lodowej w działalności fundacji ekologicznych. Nawet duże firmy przemysłu spożywczego nie mogą spać spokojnie. Ogrom swoich zasobów i energii ideologicznie zmotywowanych pracowników, w tym także społecznych, fundacje skupiają na przekonaniu i wywieraniu presji (nazywanej przez aktywistów „monitoringiem”) na producentów, przetwórców żywności, dystrybutorów artykułów spożywczych, krajowe oraz globalne sieci handlowe i gastronomiczne. Praktycznie cały system, od producentów po sprzedawców żywności, znalazł się pod „przekonującym monitoringiem” współpracujących ze sobą organizacji i fundacji ekologicznych. Dla producentów, przetwórców, dys-

trybutorów i sieci handlowych ryzyko utraty budowanej latami ogromnym kosztem marki handlowej zwiastuje utratę klientów i katastrofę finansową. Dlatego strach przedsiębiorców przed „ekologicznym monitoringiem” jest uzasadniony.

Na szczycie tego wielopoziomowego spektrum działań ekologów znajdują się pracujący w fundacjach prawnicy przygotowujący propozycje zmian prawa na „bardziej ekologiczne” i zajmujący się wywieraniem presji na komisje sejmowe. Często ich działania popierają współpracujący politycy i parlamentarzyści promujący inicjatywy ustawodawcze ekologów.

Ekoterror stał się normą w działaniach już nie tylko tzw. ekologów, ale również spowodował erozję zdrowego rozsądku wśród brukselskich eurokratów. Świadczy o tym chociażby plan wprowadzenia zakazu używania papieru toaletowego, następnie zastąpienie go produktem słomopochodnym i przymusu używania bidetów.

Polska racja stanu

W świetle opisanego aparatu grupowej przemocy, stosowanego przez organizacje i fundacje ekologiczne, naturalną staje się obawa o możliwość celowego wykorzystywania olbrzymiej sprawczości tych organizacji przez darczyńców i sponsorów zainteresowanych zapaścią polskiego i europejskiego rolnictwa. Nie trzeba być ekspertem, żeby zauważyć, że koszty produkcji rolnej w Polsce i Unii Europejskiej zawsze będą wyższe niż w Rosji, czy krajach Ameryki Południowej.

Wagę znaczenia samowystarczalności żywnościowej Polski i Europy powinien uświadomić nam kryzys wywołany zerwaniem łańcuchów dostaw w wyniku niedawnej pandemii COVID-19. Tymczasem brukselcy eurokraci chcą doprowadzić do zapaści europejskiego rolnictwa i importować tanią żywność spoza Unii, a spokój społeczny rolników kupować gotówkowymi dotacjami. Nie trzeba mieć wiedzy eksperta żeby przewidzieć, że z czasem Rosja (wojna kiedyś się skończy) uzależni żywnościowo Unię od siebie, ponieważ już dzisiaj zalewa rynek swoją tanią pszenicą. Jest oczywiste, że niszczenie polskiego rolnictwa przez antyrolnicze zapisy Zielonego Ładu oraz wspierające ich realizację fundacje ekologiczne, godzi w polski interes narodowy. Ten mechanizm autodestrukcji przypomina chorobę autoimmunologiczną, która nieuchronnie doprowadzi do samozniszczenia polskiego i europejskiego rolnictwa. W świetle opisanych zagrożeń należy podkreślić, że Polska musi!!! być producentem żywności i to nie tylko na własne potrzeby, lecz także na eksport. Tym bardziej, że wobec

ubytku ziem uprawnych z powodu zmian klimatycznych (np. w Afryce) oraz niekontrolowanego wzrostu liczby mieszkańców Ziemi, strategiczne znaczenie krajów produkujących żywność będzie rosło. Dlatego polską racją stanu jest rozsądna stopniowa, akceptowana przez rolników, proklamacyjna transformacja naszego rolnictwa oparta na mechanizmach rynkowych, a nie na dotacjach i rozdawnictwie pieniędzy. Rolnicy wielokrotnie artykułowali, że chcą uzyskiwać godne przychody ze sprzedaży swoich produktów, a nie finansowe dotacje. Farmerzy, planując przyszłe zasiewy i kierunki hodowli kierują się rachunkiem ekonomicznym. Chociaż dotacje pieniężne doraźnie kupują spokój społeczny, to ostatecznie utrudniają planowanie produkcji rolniczej, gdyż osłabiają rolę rynku.

Źródła radykalizmu

Spolecznie atrakcyjną retorykę fundacji, bazującą na kreowaniu lęków klimatycznych i empatii dla cierpienia zwierząt, szczególnie łatwo przejmują młodzi ludzie czerpiący wiedzę głównie z Internetu. Obserwując prozwyerzące portale internetowe można przekonać się jak perfekcyjnie zawłaszczają one emocje i wrodzoną wrażliwość dzieci i młodzieży (także dorosłych) epatując je scenami okrucieństwa i przemocy wobec zwierząt, a następnie kontrastując je z obrazami przesympatycznych, ufnych i przyjacielskich czworonogów. Tłem tego przekazu jest obraz zbliżającej się klęski klimatycznej na Ziemi. W ten sposób organizacje ekologiczne kształtują emocje i psychikę zwłaszcza młodych ludzi i budują środowisko swoich sympatyków, spośród których skutecznie rekrutują nowe pokolenie aktywistów. Nie do zaakceptowania jest fakt, że kreowany przez socjotechników fundacji poziom ekologicznej indoktrynacji sprzyja tworzeniu postaw skrajnych i nieracjonalnej agresji. W Europie Zachodniej ekoterrorizm przybierał już nawet formy anarchizmu ekologicznego, polegającego na niszczeniu instalacji przemysłowych przez fanatycznych ekologów. Przykładem może być niedawne zniszczenie masztu energetycznego w fabryce samochodów elektrycznych Tesli w Niemczech. Spowodowało ono zamknięcie fabryki (straty oszacowano na 120 mln euro) i kilkudniowy brak dostaw prądu dla kilku tysięcy okolicznych mieszkańców. Widać wyraźnie, że ekolodzy radykalizują się, a ich ideologia w wielu przypadkach odegrała się od realnego życia, prowadząc do zachowań ekstremalnych nie uwzględniających gospodarczych i społecznych skutków działań pseudoekologicznych. W tym przypadku możemy już mówić o przeistoczeniu ekologii (dyscypliny

naukowej lub postawy społecznej wyrażającej troskę o środowisko) w ekoreligię. Nazwijmy ją ekologizmem, czyli niszczycielskim ruchem społecznym, który czerpie siłę z fanatyzmu swoich wyznawców (ekologistów).

Niezbędna kontrola źródeł finansowania

Za radykalizacją postaw ekologów może stać sposób finansowania ich struktur organizacyjnych lub inna pieniężna zależność. Finansowanie ekofundacji przez darczyńców zagranicznych bardzo łatwo może prowadzić do uzależnienia fundacji od oczekiwań sponsorów, szczególnie w sytuacjach, gdy darczyńcy wpłacają duże kwoty. Taka zależność może odpowiadać za niechęć protestujących aktywistów do osiągania racjonalnych kompromisów w prowadzonych sporach. (W przypadku *Otwartych Klatek* aż 72% budżetu stowarzyszenia wynoszącego prawie 11 mln złotych w 2022 roku pochodziło z zagranicy. *WWF Polska w roku rozliczeniowym 01.07.2022 – 30.06.2023* dysponowała przychodem 34 566 365 zł, z czego 28 918 588 złotych pochodziło od darczyńców prywatnych. *Greenpeace Polska w roku sprawozdawczym 2022* władala przychodem 14 700 000 zł, z czego z donacji od osób fizycznych i prywatnych uzyskała 14 400 000 zł.)

Destrukcyjna postawa aktywistów nie dziwi, gdyż polubowne rozwiązywanie problemów pozabawiłoby darczyńców motywacji do kolejnych darowizn finansowych, etatowych działaczy środków do życia, a całą społeczność aktywistów paliwa emocjonalnego generowanego przez atmosferę walki o słuszną sprawę. W dłuższej perspektywie brak emocji sporu doprowadziłby do problemów z tożsamością środowiska i jego dezintegracji. W związku z powyższym już dziś społeczne konsekwencje działalności aktywistów są dotkliwie. Bezkompromisowe i nieakceptowalne społecznie zapisy „Zielonego Ładu” są tego najlepszym przykładem.

Status prawny fundacji wymaga zmian

Fundacje ekologiczne w naszym kraju są organizacjami pożytku publicznego i są traktowane na równi np. z hospicjami, domami opieki dla seniorów, czy fundacjami prowadzącymi schroniska dla zwierząt. Różnica w postrzeganiu charakteru tych organizacji jest kluczowa dla procesów politycznych w naszym kraju. Fundacje ekologiczne dysponujące wielomilionowymi budżetami, mające swoich posłów w Europarlamentacie, parlamentem krajowym i ministrów w obecnym rządzie, są *de facto* partiami politycznymi. Powinny zatem działać według ram prawnych przewidzia-

nych dla partii politycznych, a nie chować się pod parasolem organizacji działających *pro publico bono* i jednocześnie korzystać z niedopuszczalnego dla partii politycznych zagranicznego finansowania.

Konstytucja gwarantuje nam wolność zrzeszania się i jest to jeden z fundamentów społeczeństwa obywatelskiego. Olbrzymia siła sprawcza niektórych fundacji wynika z ich ogromnych budżetów pochodzących głównie z zagranicy. Ustawodawca przyjmując 2 kwietnia 1997 roku Konstytucję Rzeczypospolitej nie przewidział rosnącego wpływu takich organizacji na społeczeństwo, gospodarkę i system polityczny w naszym kraju. Ten postępujący proces zwiększa ryzyko otwarcia polskiego systemu politycznego na wpływy zewnętrzne, gdyż polskie prawo zezwala na finansowanie fundacji i stowarzyszeń przez darczyńców zagranicznych. To bardzo trudny i skomplikowany temat, ponieważ z jednej strony dotyczy fundamentów demokracji, jednak z drugiej stwarza dla niej olbrzymie zagrożenie zewnętrzne.

Jednoznaczne zdefiniowanie prawne finansowania tych instytucji powinno być kluczowe w związku z nasilającym się zagrożeniem wpływu obcej agentury. Media donoszą o dużej aktywności nieprzychylnych nam obcych służb zwłaszcza w Internecie, a dla fundacji ekologicznych Internet jest najważniejszą platformą komunikacji społecznej. Specjalista ds. bezpieczeństwa, prof. Daniel Boćkowski z Uniwersytetu w Białymstoku stwierdził, że Rosjanie finansują ekologów w celu wywierania wpływu na społeczeństwa krajów europejskich. W związku z powyższym zagrożeniem, sprawozdania finansowe polskich fundacji i organizacji ekologicznych powinny dokładnie opisywać źródła finansowania, szczególnie te z zagranicy, a pochodzenie pieniędzy powinno być kontrolowane przez polskie służby. Mocnym dowodem słuszności tego postulatu są doniesienia niemieckiego *Die Welt* („Putin opłacał ekologów, by zablokować Zachód. Przekazał 82 mln euro,” *Money.pl*, 2022).

Musimy lepiej chronić nasz kraj i gospodarkę, w tym rolnictwo, przed próbami wpływu i destabilizacji ze strony obcych służb, a być może także zagranicznej konkurencji gospodarczej. Biorąc pod uwagę częste blokowanie przez ekologów strategicznych inwestycji w naszym kraju oraz siłowe forsowanie nieakceptowanych założeń Zielonego Ładu w rolnictwie, podjęcie dyskusji na ten temat leży również w żywotnym interesie organizacji ekologicznych. Tym bardziej, że mogą być one nieświadomym narzędziem wpływu wykorzystywanym przez obce służby lub konkurencję na globalnym rynku producentów żywności.

Zielona granica

Nie ulega wątpliwości, że wszyscy zgadzamy się z koniecznością zapobiegania zmianom klimatycznym, ochrony środowiska przed skażeniem i zapewnieniem zwierzętom dobrych warunków życia. Zdecydowana większość z nas aktywnie uczestniczy w realizacji tych celów. Obecnie powszechne jest segregowanie i recykling odpadów, wspieranie schronisk dla zwierząt, sprzątanie otoczenia nie tylko podczas Dni Ziemi. Wspaniałym wyrazem takich działań jest Wielka Orkiestra Świątecznej Pomocy (Brawo dla Jurka Owsiaka!!!), przecież człowiek jest również częścią natury i też często potrzebuje pomocy. We wszystkich tych akcjach uczestniczą miliony Polaków. Chciałbym mocno podkreślić, że zaangażowanie i społeczna praca (z naciskiem na społeczną) członków wszystkich organizacji i stowarzyszeń działających na rzecz środowiska zasługuje na uznanie i szacunek. Natomiast pseudoekologiczna głupota, przemoc, szantaż, wymuszenia, hejt i terror, już nie. Protest rolników wspierany przez leśników, myśliwych i pszczelarzy przeciwko Zielonemu Ładowi jest wyrazem sprzeciwu przeciwko takim metodom działania organizacji ekologicznych.

Nie wylewajmy dziecka z kąpielą

Odmieniany w mediach przez wszystkie przypadki Zielony Ład stał się symbolem porażki brukselskich wizjonerów. I chociaż w obecnym kształcie jest nie do przyjęcia, to jednak wiele założeń tego projektu niewątpliwie jest wyrazem dalekowzroczności i rozsądnej strategii na przyszłość. Pozytywnym przykładem może być jego część dotycząca rozwoju sektora odnawialnych źródeł energii (OZE). Inwestycje w tym obszarze zapewnią nam czyste powietrze, zmniejszą zanieczyszczenie środowiska i uniezależnią energetycznie od paliw kopalnych: węgla, ropy i gazu ziemnego. Nie wylewajmy więc dziecka z kąpielą.

Dokąd zmierzamy?

Bieżący kryzys zdetonowany ograniczeniami Zielonego Ładu oraz nieograniczonym otwarciem unijnego rynku na import artykułów rolnych z Ukrainy przypominał nam, że powinniśmy chronić naszych producentów żywności. Mimo, że wojna w Ukrainie trwa już dwa lata, przekaz ten nie przebił się do świadomości aktywistów nękających hodowców. Brak refleksji ze strony działaczy nie zaskakuje, gdyż walka z sektorem hodowlanym wpisuje się w strategię prozwierzęcych fundacji, które promując dietę roślinną dążą do całkowitej likwidacji hodowli zwierząt.

Polskie rolnictwo ma wielkie sukcesy. I tak, na przykład, dzięki tytanicznej pracy polskich hodowców drobiu nastąpił dynamiczny rozwój tego sektora rolnictwa. Polska jest obecnie trzecim eksporterem drobiu na świecie po Brazylii i Stanach Zjednoczonych. Staliśmy się globalnym graczem osiągając w 2023 roku 4,2 mld dolarów sprzedaży eksportowej. Co ważne, sektor drobiarski ma duży potencjał perspektywicznego rozwoju, gdyż może przetwarzać ziarna zbóż w nadmiarze zalegające polskie magazyny na drobiowe mięso, wydatnie pomagając w ten sposób polskim rolnikom. Pamiętajmy, że polski drób jest eksportowany do ponad 60 państw świata i ze względu na przystępną cenę stanowi w tych krajach podstawę żywienia ubogich warstw społecznych, chroniąc je przed niedożywieniem i głodem.

Polska żywność zdrowa i bezpieczna

Trzeba podkreślić, że polscy producenci przestrzegają europejskich standardów fitosanitarnych i dobrostanowych, wytwarzając finalnie zdrową i bezpieczną żywność. Zwłaszcza etatowi liderzy fundacji proekologicznych powinni mieć świadomość, że blokując budowę nowych ferm i utrudniając funkcjonowanie dotychczasowych, doprowadzą do zapaści i likwidacji sektora drobiarskiego w Polsce. W konsekwencji wywoła to utratę tysięcy miejsc pracy nie tylko na fermach, ale także doprowadzi do upadku gospodarstw produkujących paszę dla hodowanych zwierząt i w rezultacie spowoduje przeniesienie produkcji na Ukrainę lub do innych krajów. W krajach pozaunijnych nie obowiązują europejskie standardy w produkcji drobiu. W efekcie będziemy importować i konsumować mięso niespełniające europejskich wymagań fitosanitarnych. Na zakończenie przypomnę stare polskie porzekadło: „Nie zabija się kury, która znosi złote jajka”. Nasi przodkowie zawarli w tym powiedzeniu życiową mądrość, z której wszyscy powinni czerpać inspirację do budowy potęgi polskiego rolnictwa.



Prof. dr hab. Jarosław Całka
Stypendysta Fulbrighta, 5 lat pracował na uniwersytetach w Stanach Zjednoczonych i Republice Federalnej Niemiec. Autor i współautor 181 publikacji naukowych. Jego prace były cytowane 1641 razy. Obecnie kieruje Katedrą Fizjologii Klinicznej na Uniwersytecie Warmińsko-Mazurskim w Olsztynie.

Pasje



Marek Piotr Krzemień
**STUDENCKA NAUKOWA WYPRAWA
KRAKÓW - AFRYKA WSCHODNIA 1974**



Pół wieku temu...



W maju br. minęło pół wieku od rozpoczęcia studenckiej wyprawy do Afryki, a konkretnie do rezerwatu Mkomazi w Tanzanii. Podróż tę odbyliśmy Starem 66 o wdzięcznej nazwie MONIKA, która to powstała ze zbitki słów MON - ofiarodawca samochodu oraz KA czyli trasy wyprawy Kraków - Afryka.

Wszystko zaczęło się w 1967 roku, gdy w ramach Koła Naukowego Leśników przy ówczesnej Wyższej Szkole Rolniczej w Krakowie powstała Sekcja Łowiecka, której opiekunem został mgr inż. Andrzej Tomek. Przy okazji warto tutaj wspomnieć, że odznakę naszej sekcji nie tylko zaprojektował, ale także wykonał z drewna, dla wszystkich jej członków, znany krakowski artysta Andrzej Łepkowski.

Sekcja ta w ramach swojej działalności organizowała rokrocznie obozy naukowe. Pomimo, iż byłem już po studiach, jednak nadal, jako Członek Honorowy uczestniczyłem w jej pracach, toteż zupełnie normalnym

wydało mi się pytanie, które wiosną 1973 roku, podczas naszego spotkania, zadał mi Andrzej: *masz jakiś pomysł, gdzie by w tym roku zorganizować obóz?*, a ja na to: *w tym to jeszcze nie wiem, ale w przyszłym to może wybralibyśmy się do Afryki*. Andrzejowi pomysł przypadł do gustu i już następnego dnia w barakach przy ulicy 29 listopada, w których wówczas mieścił się Zakład Łowiectwa Wydziału Leśnego AR w Krakowie, zabraliśmy się ostro do pracy. Na najbliższym zebraniu sekcji skompletowaliśmy zespół chętnych na wyprawę. Powołane zostało jej kierownictwo w osobach: dr inż. Andrzej Tomek - kierownik naukowy oraz inż. Marek Piotr Krzemień - kierownik techniczny. Natychmiast też obaj z moim imiennikiem Markiem Pęksą, zapisaliśmy się do LOK-u na kurs na prawo jazdy na samochody ciężarowe, nota bene jazdy i egzamin zdawaliśmy już na obiecany nam przez wojsko Starze 66.

Najważniejszymi sprawami do załatwienia



Pożegnanie wyprawy Sekcji Łowieckiej do Afryki Wschodniej przez Prezydenta Krakowa i Władze Uczelni na krakowskim rynku



było zdobycie samochodu oraz sponsorów. Zaproponowałem wówczas, że pojadę do Ministerstwa Obrony Narodowej i spróbuję coś załatwić. Po negocjacjach z ówczesnym szefem transportu MON wróciłem do Krakowa z przydziałem wymarzonego nowego Stara 66. Gdy zjawiłem się z nim u dziekana naszego wydziału, niespodziewanie pojawił się problem, bowiem samochód miałem odebrać ja, a ja nie byłem pracownikiem uczelni. Problem jednak został szybko rozwiązany i spośród uczestników wyprawy do jej kierownictwa na czas jej przygotowań dokooptowany został, jako kierownik organizacyjny, mgr inż. Grzegorz Jamrozy.

Poszukiwania sponsorów przebiegły też pomyślnie, chociaż główny nasz sponsor Zrzeszenie Studentów Polskich, od którego mieliśmy otrzymać gotówkę, tak się „spieszył” z realizacją swojej obietnicy, że zupełnie na wariackich papierach wyjechaliśmy bez Andrzeja Tomka, który dopiero samolotem dotarł do nas do Kairu. Jakże musieli się dziwić celnicy widząc pasażera lecącego do Egiptu, którego jedynym bagażem była kosmetyczka z kilkoma tysiącami dolarów.

Tak więc, po trwających rok przygotowaniach, w pełnym składzie: dr inż. Andrzej Tomek -

kierownik naukowy wyprawy /jęz. niemiecki/, Marek P. Krzemień - kierownik techniczny, fotograf wyprawy, pierwszy kierowca /jęz. angielski/, mgr inż. Grzegorz Jamrozy - kierownik organizacyjny, mgr Janusz Cichalewski - opieka medyczna, filmowiec /jęz. francuski/, mgr inż. Tadeusz Kubacki - botanik, mgr inż. Zofia Pas - kronikarz, studenci leśnictwa: Krzysztof Chojnowski - skarbnik, Marta Korsak - dokumentacja zbiorów, Elgijusz Michniowski - kwatermistrz, Aleksander Pająk - preparator, Marek Pęksa - drugi kierowca, a zarazem mechanik, w niedzielę 26 maja 1974, jak nakazuje krakowska tradycja, o godz. 11.30 wjechaliśmy na płytę Rynku Głównego, z którego punktualnie o godz. 12.00, przy dźwiękach hejnału z Wieży Mariackiej, żegnani przez Prezydenta Krakowa Jerzego Pękałę, rektora Akademii Rolniczej Tadeusza Wojtaszka, dziekana Wydziału Leśnego Romana Riegera, studentów, dziennikarzy, rodziny i bliskich wyruszyliśmy na spotkanie życiowej przygody.

Zanim dotarliśmy do naszego celu, jakim był rezerwat Mkomazi w Tanzanii naszą wyprawę, wprowadzie nadzwyczaj atrakcyjną, można by opisać jako jedno pasmo kłopotów. W telegraficznym skrócie wyglądało to tak. Zaczęło się bez problemów. Przez Czechosłowację i Austrię dotarliśmy do Rzymu, zwiedzając po drodze, w miarę ograniczonego czasu jak i środków finansowych, co się dało: Wiedeń, Wenecję, Perugię. Z Rzymu, po załatwieniu libijskich wiz, co zajęło nam dwa dni, dając nam czas na zwiedzanie „Wiecznego Miasta” i wizytę w Watykanie, „autostradą słońca” pojechaliśmy pod Monte Casino, aby złożyć kwiaty na grobach polskich żołnierzy.

Noc pod Monte Casino zrobiła na mnie niezwykle wrażenie. Otóż trudno było spać, tak pięknie kłaskały słowiki. Przypomniało mi się od razu wspomnienie znanego pisarza, uczestnika bitwy pod Monte Cassino, Olgierda Terleckiego, który opowiadał mi jak podczas przerw w atakach, gdy nastawała cisza, słysząc było donośne słowicze trele. Następnego dnia po modlitwie na cmentarzu, wracając zauważam kwitnące maki. Od razu przypomniały mi się słowa piosenki, a w oku zakręciła się łza.

*„Przejdą lata i wieki przemina,
Pozostaną ślady dawnych dni
I wszystkie maki na Monte Cassino
Czerwieńsze będą, bo z polskiej wzrosły krwi.”*

Dalej zwiedzaliśmy ruiny starożytnych, zniszczonych wybuchem Wezuwiusza Pompejów, które zaskoczyły nas stanem zachowania. Jeszcze Neapol, a następnie wypływamy promem „Manzoni” opuszczając Europę. Łądujemy w Tunezji. Jesteśmy w Afryce. Zwiedzamy Cartaginę, której zniszczenia domagał się mówca i polityk Katon starszy (234-149 p.n.e.) kończąc każde swoje przemówienie słowami: *A poza tym sądzę, że Kartaginę należy zniszczyć.* Dalej, w miejscowości El Jem, podziwiamy Koloseum niewiele mniejsze od rzymskiego.

Saharyjski upał daje się nam we znaki. Na własnej skórze przekonujemy się, co to są wiatry „hamsin”, co w dosłownym tłumaczeniu oznacza „wiatry 50-ciu”. Gdy o godz. 00.30 przekraczamy libijską granicę jest 31,5 C. W Libii spotykamy wielu pracujących tutaj Polaków tak, że przejeżdżamy ją sztafetą od Polaka do Polaka.

Zwiedzamy Tobruk. Docieramy do granicy z Egiptem. Dalej Aleksandria i Kair. Tutaj spotykamy się z Andrzejem Tomkiem. Jesteśmy w komplecie.

Pierwsze kroki kierujemy do Bazy Słońce specjalnej jednostki WP w ramach UNCF na Bliskim Wschodzie.

Tutaj czekała nas pierwsza z całej serii przygód. Dojeżdżając do bramy tego najpilniej strzeżonego obiektu wojskowego w Kairze miałem przygotowane stosowne papiery. Gdy jednak dojechałem do wartowni, przy której stał czarnoskóry żołnierz, ten salutując zawołał „Cześć czarna kolega” i podniósł szlaban. Odpowiedziałem tak samo i wjechałem. Musiał go zmylić nasz Biały Star 66, taki sam, jakich używali polscy żołnierze. Tak czy owak mina, jaką miał polski dowódca, gdy wchodziłem do jego gabinetu, warta była wszystkich pieniędzy. Drżącym głosem zapytał skąd się tu wziąłem, a ja na to spokojnie: *wjechałem autem, stoi pod pana biuram, a na bramie znałem hasło „Cześć czarna kolega”.*

Po kilkudniowym pobycie w bazie, gdzie nasza Monika przeszła generalny przegląd, pojechaliśmy na położony u stóp piramid Camping Sahara City.

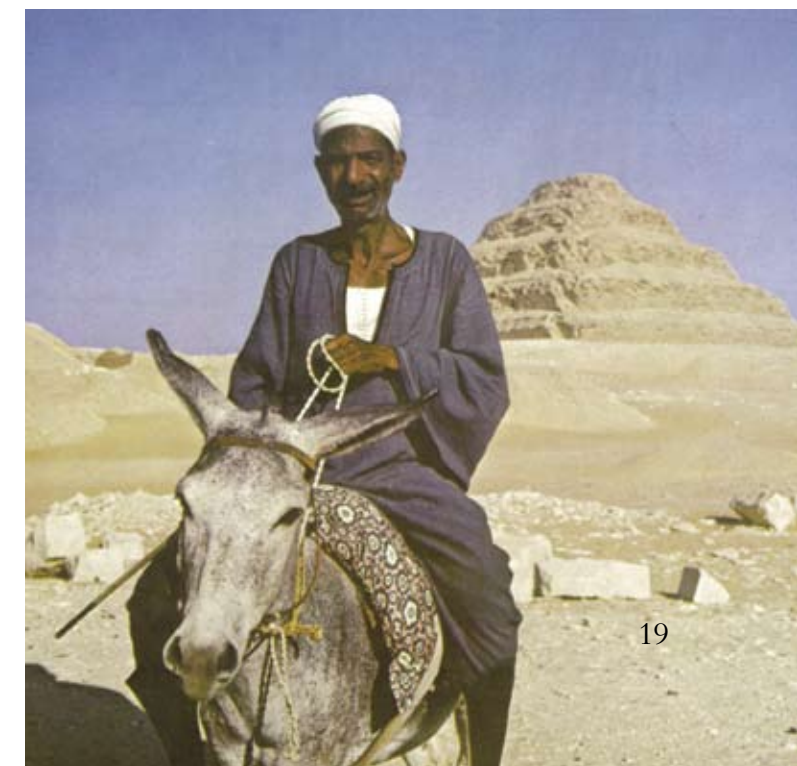
Żegnając się z żołnierzami nie przypuszczaliśmy, że przyjdzie nam przebywać u stóp piramid jeszcze wiele dni. Za sprawą urzędnika kairskiego biura Mogama mieliśmy okazję poznać

znaczenie trzech podstawowych słów arabskich „malesz” - nie szkodzi, „bukra” - jutro i „bade bukra” - pojutrze.

Tak czy owak mieliśmy czas na zwiedzanie piramid, Old Cairo, koptyjskiego kościoła z IV w., piramidy schodkowej w Memfis i wielu innych atrakcji Kairu.

Na naszym campingu położonym u stóp Piramid Cheopsa, Chefrena i Mykerynosa codziennie odbywały się wspaniałe imprezy „światło - dźwięk” przedstawiające historię starożytnego Egiptu. Mieliśmy także okazję obejrzeć pokaz pięknych tancerek Sorai i Aminy specjalnie zorganizowany dla nas przez Mamadu, saudyjskiego księcia Faisala. W prawdziwy zachwyt wprowadził nas jednak egipski jeźdźca tańczący na koniach w takt arabskiej muzyki. W pewnym momencie, gdy tańczyła kolejna mocno rozneglizowana „panienka”, Mamadu zapytał mnie jak mi się podoba? Odrzekłem, że osobiście wolę konie. Okazało się, że mamy podobne gusty i w ten sposób zawiązała się między nami nić sympatii, która zaowocowała tym, że następnego dnia zostaliśmy przez niego zaproszeni z Zosią i Grześkiem najpierw do obrotowej kawiarni na wieży „Tower”, gdzie mogliśmy, pijąc kawę, obejrzeć całą panoramę Kairu. Resztę wieczoru spędziliśmy w arabskim klubie, normalnie niedostępnym dla obcokrajowców, mając możliwość poczuć prawdziwą arabską atmosferę. Nawiasem mówiąc cały czas towarzyszyła nam obstawa księcia.

Następnego dnia mieliśmy też okazję odwiedzić legendarną kawiarnię u Groppi'ego, otwartą na przełomie wieków, z której podróżnicy,





w tym także Henryk Sienkiewicz, wyruszyli na swoje wyprawy w głąb Afryki.

Kolejny przymusowy wolny dzień poświęcamy na wycieczkę feluką po Nilu i oglądamy Nilometr, według którego ustalano wysokość podatków i gdzie widoczne są jeszcze inskrypcje powstałe za Thotmesa III, Amenhotepa III (XVIII dynastia) i Psametyka II (XXVI dynastia).

Wspaniałe przeżycia nie były w stanie przysłonić nam celu naszej podróży. Wreszcie mogliśmy ruszyć dalej na południe, z tym, że nie na kołach, a najpierw pociągiem, a następnie barką przez jezioro Naser. Wszystko byłoby proste, gdyby w porcie był pomost, po którym moglibyśmy naszym Starem wjechać na barkę. Kilka godzin zabawy w inżynierów mostowych i wjeżdżamy na barkę, która jest tak wąska, że przód i tył samochodu wystają poza burty. Po opasaniu pojazdu liną od wciągarki byliśmy gotowi do dwudniowej podróży przez jezioro, którą umiłowaliśmy sobie z Andrzejem łowiąc okonie nilowe.

W porcie Uadi Halfa, również nie było pomostu, więc na stały ląd zjeżdżałem po workach z bawełną ułożonych przez uczynnych Sudańczyków.

Niestety nastąpił kłopotów ciąg dalszy.

W porcie czekał na nas szef miejscowej policji, który mimo, że był myśliwym i na polowaniach z nami spędzał kolejne dni, podczas których Andrzej strzelił gęś, a ja pelikana, długo nie wyrażał zgody na dalszą podróż. Wreszcie pozwolił nam ruszyć dalej, ale znowu nie na kołach, tylko pociągiem.

Docieramy do Chartumu. Tutaj czekają nas kolejne kłopoty i zmiana planów. Z powodu wojny w Etiopii nie możemy jechać dalej na południe. Decydujemy się więc na podróż przez Pustynię Nubijską do Port Sudanu. Na to też potrzebne jest zezwolenie, na które nie możemy się doczekać, więc za namową Allana, przypadkowo poznanego Sudańczyka,

absolwenta krakowskiej AGH, postanawiamy ruszyć na własną odpowiedzialność. Przed nami 900 km pustyni zwanej patelnią świata. Kierunek Atbara. MONIKA obładowana do granic wytrzymałości zapasami benzyny i wody spisuje się znakomicie.

Już na pierwszym biwaku, korzystając z danego nam przez szefa policji w Uadi Halfa zezwolenia, który stwierdził, że w Sudanie nie ma żadnych ograniczeń dotyczących polowania na ptactwo, polujemy na pustynne gołębie i kuropatwy. Wreszcie coś nie z konserwy! Dojeżdżamy do El Damer, gdzie znajduje się most na rzece Atbara. Dojeżdżam do niego i widzę, że jest za wąsko. Monika jest za gruba o kilka centymetrów. Dowiadujemy się, że kilka kilometrów niżej jest prom, ale niestety bez zezwolenia nas nie przeprowią. Wracamy więc do El Damer i udaję się, jakby nigdy nic, na policję. Komendanta nie ma, ale rozmawiam z nim przez telefon i mimo że w gruncie rzeczy nic nie wskórałem, po tej rozmowie udało mi się przekonać jednego z policjantów, żeby eskortował nas na prom i po jego interwencji znaleźliśmy się w Atbarze.

Wreszcie dotarliśmy do Port Sudanu. Tutaj czekał na nas, uprzedzony telefonicznie (a jed-



nak!) przez ambasadora przedstawiciel PLO Jerzy Kallman, który już załatwił, że mająca za tydzień wpłynąć do portu „Oleśnica” weźmie nas swój pokład.

Pozostało nam jedynie jak zwykle czekać.

Jurek starał się nam ten czas umilić po pierwsze załatwiając od Rosjan maski i fajki do nurkowania, dzięki którym mogliśmy podziwiać bajeczny podwodny świat Morza Czerwonego. Zorganizował nam także, to znaczy Andrzejowi i mnie, wieczorny wypad na barakudy zakończony wędkarskim sukcesem.

Wydawać by się więc mogło, że problemy mamy już mamy za sobą. Niestety okazało się, że w porcie nie ma odpowiednich dźwigów. Gdy do portu wpłynęła „Oleśnica” nawiązaliśmy przyjazny kontakt z uroczym jej kapitanem Tadeuszem Kuligiem, który zgodził się nas zabrać, ale z załadowaniem samochodu nadal był problem. Nośność dźwigów statkowych wynosiła 3 tony, a Monika ważyła 6 ton. W końcu kapitan zwrócił się o radę do bosmana, a ten stwierdził krótko: Panie kapitanie, skoro nie mamy innego dźwigu, musi nam wystarczyć ten. Jeżeli nasz bom ma 3 tony udźwigu, to prawdziwa jego nośność musi być dwa razy większa, więc wytrzyma. Na drugi dzień rano mieliśmy się przekonać, czy bosman miał rację. Ostatecznie na oczach zdumionych sudańskich dokerów, opasana linami „Monika” została szczęśliwie zabukowana.

Rozpoczęliśmy kolejny etap naszej podróży, tym razem statkiem.

Niewątpliwą atrakcją był, przygotowany specjalnie dla nas, uroczysty chrzest morski,

który załoga przeprowadziła ze wszystkimi możliwymi atrakcjami.

Wreszcie po 111 dniach podróży, z licznymi przygodami, dotarliśmy do Afryki Wschodniej, do Mombasy.

Tym razem wylądunek przebiega sprawnie, ponieważ wylądowują nas potężnym portowym dźwigiem, więc nie musimy rozładowywać „Moniki”. Teraz musimy tylko obaj z Miśkiem przestawić się na obowiązujący tutaj ruch lewostronny. Wieczorem docieramy do rezerwatu Shimba Hills, gdzie zatrzymujemy się na biwak. W nocy, po raz pierwszy w życiu, widzę Krzyż Południa.

O świcie, po krótkim spacerze po rezerwacie, ruszamy dalej i przekraczamy granicę Tanzanii.

Teraz wszystko przebiega już zgodnie z planem. Jedziemy do Dar es Sallam. Następnego dnia wizyta w naszej ambasadzie. Na zaproszenie ambasadora Juliana Tworóga wieczorem przenosimy się do jego, leżącej nieopodal, rezydencji. Kolejny dzień, topobieżne zwiedzanie Dar es Sallam i ruszamy w kierunku Ngorongoro. Na biwak stajemy wiosce u stóp Kilimandżaro. Rozpalamy ognisko. Wieczorem z pobliskiej wioski przychodzą do nas uroczę dziewczęta, które śpiewają i tańczą wokół ogniska do późnej nocy.

Następnego dnia jedziemy do Ngorongoro. Okazuje się, że krater można zwiedzać jedynie z przewodnikiem wynajętym samochodem. Kiedyś napisałem, że jest to najdziwniejsze zoo świata, w którym zwierzęta są na wolności, a ludzie w klatkach. Biwakujemy, więc na Simba

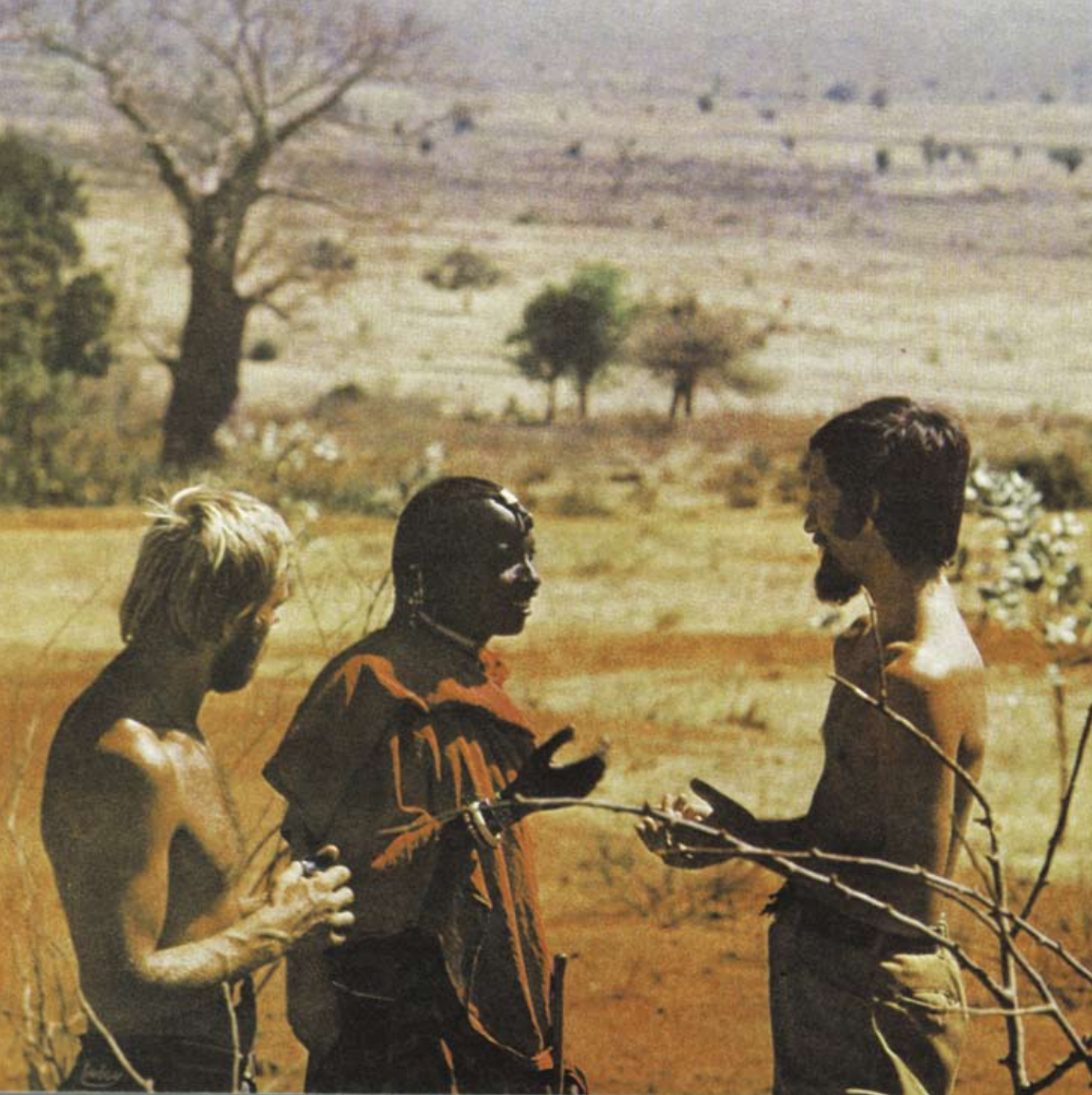


Camp. Dzielimy się na dwie grupy - jedna jedzie do krateru, druga zostaje przy aucie. Zwiedzanie Ngorongoro jest dla nas wielkim przeżyciem. Zwierzęta żyją tutaj w niezmiennych, naturalnych warunkach, a ingerencja człowieka ogranicza się do dyskretnej obserwacji, prowadzonych z samochodów, na które zwierzęta w ogóle nie reagują. Dzięki temu całkowitemu ignorowaniu samochodów możliwe jest podglądanie życia mieszkańców tego przyrodniczego sanktuarium z odległości kilkunastu, a czasem nawet kilku metrów. A jest co oglądać. W kraterze żyją, i to bardzo licznie, 53 gatunki ssaków, z bawołami, słoniami, lwami i lampartami na czele. Bardzo bogaty jest również świat ptaków, obejmujący ponad 200 gatunków. Krater Ngorongoro nie powstał, jak większość kraterów, podczas wybuchu. Gdzieś przed milionami lat, wskutek ruchów tektonicznych ziemi, powstały wielkie pęknięcia, które utworzyły tzw. wielki rów ciągnący się od doliny Jordanu, aż po Jezioro Wiktorii. Z powstałych wówczas szczelin zaczęła

wydobywać się lava, która rozlewała się, tworząc okrągłe powierzchnie. Część lawy stygnąc spływała z powrotem do wnętrza ziemi i wówczas zastygła skorupa zapadała się, tworząc ogromne krater o zboczach z lawy, na których nie spotkamy charakterystycznych dla normalnych wulkanów kamieni i popiołu. Szczegółowo pisałem o nim w naszym Łowcu Polskim (5/76).

Następnego dnia, po biwaku spędzonym na krawędzi krateru, wstaliśmy wcześnie, aby obejrzeć wspaniałe zjawisko: wschód słońca nad Ngorongoro. Po śniadaniu ruszyliśmy w dalszą drogę do, rozslawionego po całym świecie przez prof. Bernarda Grzimka, Serengeti. Park ten, to rozległa sawanna, położona na płaskowyżu o średniej wys. 1200 m n.p.m. Rozciąga się on od Ngorongoro aż do Jeziora Wiktorii. Jego zwiedzanie, podobnie jak w Ngorongoro, możliwe jest tylko samochodem, z tym, że tym razem jeździmy naszą Moniką. Tu spędzamy tylko kilka dni, jako że spieszno nam do celu naszej wyprawy - Mkomazi Game Reserve.





W Same zatrzymujemy się na ostatni biwak przed bramą rezerwatu. Wieczorem wizytę składają nam Masajowie. Masajowie to zamieszkujące Kenię oraz północną Tanzanię, autochtoniczne, półkoczownicze afrykańskie plemiona zajmujące się polowaniem oraz wypasem krów. Zapraszamy ich na kolację. Ognisko znowu przeciąga się do późnych godzin nocnych. Jednak o świcie Masajowie znowu przychodzą i prowadzą nas do swojej wioski. Wracamy po kilku godzinach i szybko, bez jedzenia, jedziemy do rezerwatu, aby załatwić formalności związane z naszym tam pobytom, realizacją filmów, zdjęć oraz badaniami. Otrzymujemy stosowne zezwolenia, a także informację, że najlepszym

miejszem na nasz biwak jest widoczne w oddali wzgórze. Udajemy się więc we wskazanym kierunku, wyjeżdżamy na górę, z której rozciąga się wspaniały widok na całą dolinę, a w dodatku u jej podnóża znajduje się niewielkie wprawdzie jezioro, ale stanowi ono jedyny w okolicy wodopój. Jest to też doskonale miejsce do fotografowania i filmowania. Rozbijamy więc biwak.

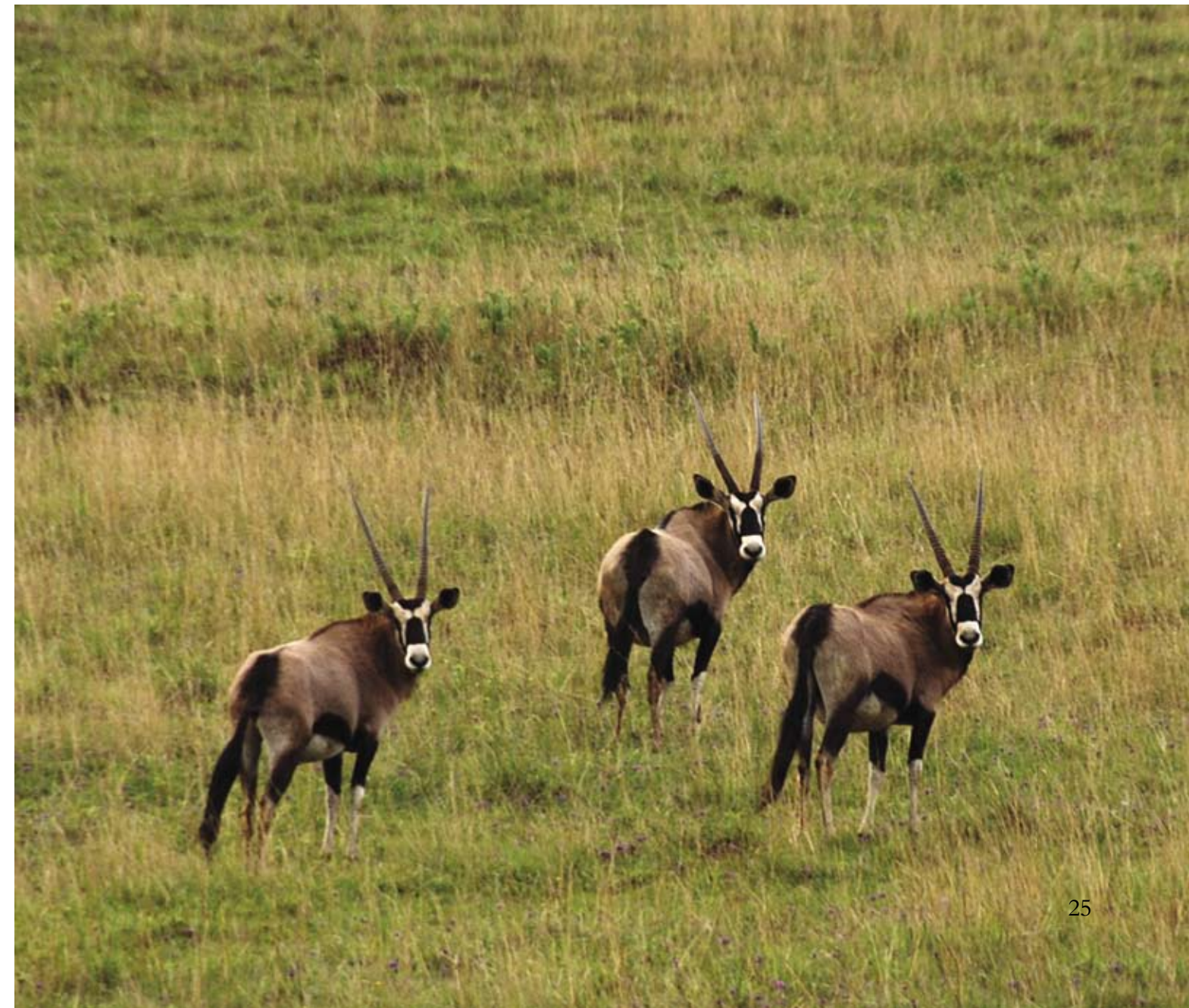
Od następnego dnia program naszego pobytu jest jednakowy. Trzy trzyosobowe zespoły badawcze pod kierownictwem Andrzeja Tomka udawały się na obserwacje w terenie. My obaj z Januszem zamieszkaliśmy w ustawionej przy brzegu jeziora „Monice”, która stanowiła dla nas ukrycie, i zabraliśmy się do pracy. Janusz filmo-

wał, a ja fotografowałem. Spędzaliśmy tam całe dnie i noce z wyjątkiem codziennego krótkiego spaceru na górę na obiady-kolacje i po prowiant na następny dzień. Czasami, kiedy nic się u nas nie działo, a gdzieś w oddali widzieliśmy jakieś ciekawe zwierzęta, wówczas ruszaliśmy naszą Monikę.

W czasie naszego pobytu nad jeziorkiem mieliśmy okazję zobaczyć wiele gatunków zwierząt. Przychodziły tutaj: słonie, żyrafy, bawoły, bawolce, zebry, elandy, waterbucki, a także sępy, sekretarze, a nawet bociany. Noce mijały nam spokojnie, chociaż jednej z nich przeżyliśmy ciekawą przygodę. Otóż obudziło nas potężne kołysanie naszą „Moniką”. Co u licha, przecież jest to potężne ciężkie auto i tak łatwo nie poddałoby się wiatrowi. Postanowiłem otworzyć drzwi, aby zobaczyć co się dzieje na zewnątrz, ale drzwi

nie dały się otworzyć. Wtedy zorientowaliśmy się, że to nie wiatr, a słoń czochra się o nasze auto. Zastanawialiśmy się, co robić. Mieliśmy tylko nadzieję, że go nie wywróci. Przecież nijak byśmy go nie postawili ponownie na koła. Słoń jednak sam rozwiązał nam problem oddalając się z godnością.

Po wykonaniu zaplanowanych prac badawczych wyruszamy w drogę powrotną. Po drodze zatrzymujemy się przy stoiskach pięknymi hebanowymi makondami, na które wszyscy wydajemy pozostałe nam jeszcze zaskórniaki. Kilka kilometrów dalej zauważam stojącego nieopodal drogi młodego myśliwego z łukiem i kołczanem. Zatrzymuję się i wysiadam z zamiarem próby kupna. Gdy podszedłem do niego ten zwrócił się do mnie znanym tutaj wszystkim słowem „change” proponując wymianę. Odrzekłem OK, a on



wskazał na moje przeciwsłoneczne okulary. Kiedy je zdjęłem wyrwał mi je z ręki, rzucił mi pod nogi łuk i kołczan i uciekł. Bał się zapewne, abym się nie rozmyślił. Do dziś ten łuk i skórzany kołczan z prymitywnie wykonanymi strzałami stanowi dla mnie najcenniejszą pamiątkę z tej wyprawy.

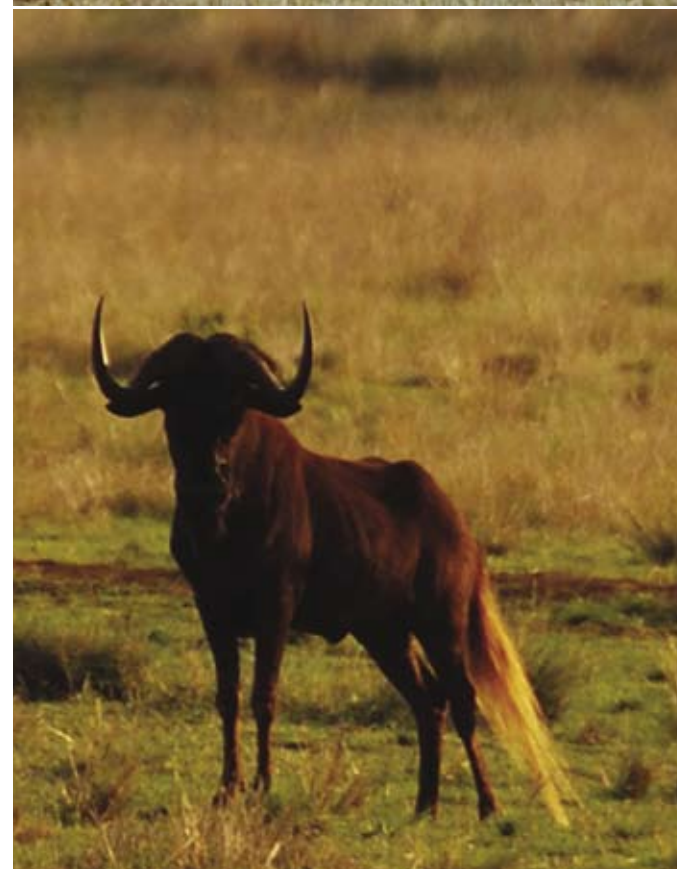
Wracamy do Dar es Salam. Tym razem załatwianie formalności związanych z powrotem do kraju trwa zdecydowanie krócej.

Załatwiamy transport „Moniki” statkiem. Razem z nią odpłynęli Marta, Grzesiek i Andrzej My następnego dnia wsiadamy na pokład TU 134 radzieckich linii lotniczych „Aeroflot” i przez Nairobi, Entebe, Chartum, Kair i Moskwę wracamy do Warszawy skąd expresem do Krakowa, do którego docieramy 17 października 1974 roku.

O naszej wyprawie na bieżąco swoich czytelników informowało Echo Krakowa publikując moje kolejne sprawozdania. Zaś po jej zakończeniu pozostał ślad w postaci prezentowanych w telewizji filmów (J. Cichalewski), prac naukowych (A. Tomek, G. Jamrozy, T. Kubacki, Z. Pas), albumu „Monika do Mkomazi” (KAW, 1988) oraz publikacji w licznych czasopismach.



Marek Piotr Krzemień
inż. leśnik, fotografik, dziennikarz,
autor i wydawca licznych książek
o tematyce łowieckiej. Długoletni
działacz łowiecki.
Lektor ekspert w dziedzinie kultury
łowieckiej.
Honorowy Członek PZŁ.



Kacze łowy

Zbigniew Giemniowski



Za moich młodzińskich lat początek sezonu polowań na kaczki na stawach w moim kole – wtedy początek sierpnia – zwiastował nadejście okresu wielkich łowieckich przygód. Przez kilka poprzedzających dni moja wyobraźnia budowała obrazy wcześniejszych sezonów, nie pozwalając spokojnie doczekać się tego wyjątkowego dnia. W naszym łowisku było kilkanaście stawów hodowlanych, niezbyt pieczołowicie zagospodarowanych, ale przez to pełnych ptactwa. Miejscem zbiórki było zwykle obrzeże stawu zwanego „Pierwszym”. Po krótkiej odprawie oraz losowaniu numerów myśliwi rozchodzili się na stanowiska. Trąbka inaugurująca polowanie rozpoczynała też wielki sezon.

Przez pierwsze lata terminowania pod okiem ojca nauczyłem się zachowania na stanowisku, koncentracji na otaczającej nas przestrzeni, bezpiecznego posługiwania się bronią. Co ważne, nauczyłem się też prowadzenia wyzła, choć w tamtych czasach wymagania w stosunku do psa wyglądały tro-

chę inaczej niż współcześnie. Podstawą był aport, w tym szczególnie aport postrzałków z gęstych trzcinowisk. Kaczek było mnóstwo i praca wyzła przed strzałem, szczególnie w czasie polowania zbiorowego, nie była w centrum uwagi. Na szczęście pewną specyfiką naszego zespołu myśliwych, wynikającą z ich wcześniejszych doświadczeń oraz z warunków naszego łowiska, była duża liczba chętnych do brodzenia w stawie w czasie pędzenia. Mieliliśmy kilku urodzonych i wychowanych na terenie przedwojennego Polesia kolegów, którzy zaszczepili ten zwyczaj pozostałym. Nie będę ukrywał, że jednym z tych „pozostałych” byłem ja.

Kiedy zacząłem już samodzielnie polować, a przypominę, że był to rok 1972 (!), brałem Bima – i w szuwar. W stawie nie było łatwo, gdyż gospodarka rybacka leżała wtedy na łopatkach, co czyniło szuwar krainą bardzo nieprzyjazną intruzowi. Gęste, trudne do sforsowania trzciny, pływający i zapadający się pod naciskiem stopy kozuch zbutwiały rośliny pokrywających powierzchnię wody,

nierzadko kryjący nieprzyjemną głębię, miliony komarów – to było nie lada wyzwanie. Co w zamian? W zamian poczucie swobody, emocja przełamywania swoich słabości oraz znakomite warunki do zapełnienia troków. Były takie stawy, że przywołam ówczesny „Księżok”, z których czeluści wychodziłem na groblę z trokami pełnymi ptactwa. Dla Bima była to również wspaniała lekcja polowania i zwykle oprócz mojej zdobyczy na trokach wisały liczne kaczki, które podniósł dla otaczających staw strzelców. Oprócz mnie do stawu schodziło jeszcze dwóch, trzech kolegów, zwykle ze swoimi wyzłami. Niektórzy ze wspomnianych „Poleszuków” do stawu chadzali jeszcze grubo po siedemdziesiątce.

Obraz tamtych czasów i tamtych polowań na kaczki nie byłby pełny, gdybym nie uzupełnił jeszcze swojej opowieści o barwę, której dodawali im ludzie. Z dzisiejszej perspektywy można by powiedzieć – zbierania. Z pozoru tak właśnie było. Od zawodowego przedwojennego kaprała jednostki artyleryjskiej stacjonującej w poleskim Pińsku – czy może w jego okolicach – po wybitnego

malarza portrecistę przyjmującego zlecenia od największych tamtego czasu. Od komendanta wojewódzkiego Ochockich Rezerw Milicji Obywatelskiej – czyli w skrócie ORMÓ – po przedwojennego radcę prawnego, który cudem przeżył czas wojennej zawieruchy. Od malarza pokojowego pracującego w jednej ze śląskich kopalń po lekarza, wieloletniego ordynatora oddziału wewnętrznego w jednym z większych miast na Śląsku. Takie to były czasy. Obok wydarzeń na stawach – udanych strzałów, katastrofalnych, budzących powszechną wesołość pudeł czy żartów z pracy cocker spanieli jednego z kolegów – były też przerwy pomiędzy pędzeniami. Wtedy na trawiastym poboczu drogi, przed wejściem na kolejny kompleks stawów, ktoś częstował słoniną przygotowaną na ukraiński sposób, ktoś inny montował grupę do krótkiej partyjki pokera, a jeszcze ktoś opowiadał o dawnych czasach i dawnych polowaniach. Nie zapomnę jednego z kolegów, zresztą znakomitego strzelca. Na kaczki przyjeżdżał z żoną, która jedynie w dwuczęściowym, skąpym jak na tamte czasy kostiumie kąpielowym ofiarne apor-





towała kaczki z każdego miejsca stawu. Złośliwi twierdzili, że zwykle lepiej niż większość znajdujących się na polowaniu psów.

Współcześnie sezon na kaczki zaczyna się miesiąc później i polowanie zwykle wygląda trochę inaczej, głównie za sprawą lepiej, a przede wszystkim bardziej agresywnie zagospodarowanych stawów: mniej trzcinowisk, więcej otwartej wody, praktycznie brak zarastającego powierzchni wody kożucha. Strzelcy stoją zazwyczaj suchą nogą na groblach, czekając cierpliwie, co im święty Hubert podarzy. Czasem staw penetrują pomocnicy w łódkach. Wartością jest sprawność strzelecka, a nie wysiłek włożony w zdobycie kaczki. Takie polowania też mają swój urok, ale nic nie dorówna starym czasom. Pomimo zmian nadal polowanie na kaczki należy do moich ulubionych i nadal niecierpliwie czekam początku sezonu. Mam mnóstwo wspomnień, byłem na wielu wspaniałych i mniej wspaniałych kaczych polowaniach, lecz na potrzeby niniejszej opowieści ograniczę się jedynie do zapamiętanych pewnych szczególnych polowań już

z dojrzałego łowieckiego życia. Żałuję tylko ogromnie, że w czasach mojej młodości nie było dostatecznie dobrego sprzętu fotograficznego i innych warunków dla zapisania obrazem tego, jak polowało się dawniej. Cóż, postaram się ciekawie pokazać słowem, jak i dzisiaj można zapolować po staremu, a resztę niech dopowiedzą zdjęcia.

Mazurskie kaczki

Chociaż, jak wspomniałem wyżej, nie zachowały się w moich zasobach fotograficzne świadectwa początków mojej „kaczej” edukacji, to jest jednak od tej reguły jeden mały wyjątek. W czasie mojego pierwszego samodzielnego sezonu, po zdaniu w 1972 r. egzaminu łowieckiego, miałem okazję zapolować z Bimem we wspaniałym mazurskim łowisku. Otrzymałem zaproszenie na dwutygodniowy pobyt w miejscowości Woźnice, a dokładnie w tamtejszym Państwowym Gospodarstwie Rolnym, gdzie głównym zootechnikiem była pani Zofia Jamont, znajoma ojca jeszcze z wileńskich czasów. PGR w Woźnicach gospodarował na bodaj 3 tysiącach hektarów, z których

niemałą część stanowiły piękne łąki i pastwiska okalające jeziora takie jak Śniardwy, Tałty czy Łuknajno. W gospodarstwie hodowano setki mlecznych krów tak, że stanowisko głównego zootechnika dawało pani Zofii niemałą pozycję w miejscowej hierarchii, co mnie z kolei dało szansę na otrzymanie odstrzału od miejscowego koła łowieckiego. Mało tego, pozwolono mi na samodzielne polowanie ograniczając jedynie jego rejon w taki sposób, aby nie dochodziło do kolizji z polowaniami miejscowych nemrodów. Trzeba powiedzieć, że zabudowania gospodarstwa w Woźnicach leżą około 2 kilometrów na północ od wspaniałego maceznika ptactwa wodnego, już wtedy będącego ścisłym rezerwatem, a mianowicie od zarastającego jeziora Łuknajno. Wstęp na teren rezerwatu był oczywiście bezwzględnie zakazany, jednak zaraz za jego granicami rozpoczął się już obwód łowiecki, a do tego ta jego część, gdzie pozwolono mi polować. Spędziłem tam wspaniałe 2 tygodnie polując na kaczki z Bimem, łowiąc ryby i zażywając różnych wspaniałości wiejskiego życia.

Na kaczki wychodziłem z Bimem rano i wieczorami. Rankami wędrowałem wzdłuż rowów melioracyjnych oraz małych oczek wodnych rozrzuconych po przestrzeni rozległych łąk kończących się na granicy rezerwatu. Przynoszone kaczki pracowicie skubałem i dusiłem w śmietanie w elektrycznym prodiżu pani Zofii. Któregoś dnia upolowałem czapłę siwą, z której piersi, zgodnie z recepturą znalezioną w starej książce kucharskiej, przygotowałem wspaniałe kotlety. Muszę powiedzieć, że był to jedyny w moim życiu czas fascynacji gotowaniem, ale w tamtym czasie aprowizacja, a właściwie problemy z nią związane, była ważnym elementem codzienności i duszona kaczka na obiad była naprawdę wspaniałym dodatkiem do codziennego menu. Prawdziwe kacze łowy zaczynały się jednak dopiero pod wieczór. Była druga połowa sierpnia, tuż po żniwach, i podstawowym sposobem polowania na kaczki w tamtych stronach było polowanie na rozległych rżyskach po pszenicy. Ja wieczorami udawałem się na łąki na obrzeżach rezerwatu, oczekując na kaczki lecące nisko z jeziora na pola, nato-

miast miejscowi myśliwi czatowali na rżyskach poniżej zabudowań gospodarstwa. Ze słomy budowali prawdziwe fortece, w których kryli się strzelcy. Przyczajony z Bimem w rowie na łąkach i nieomal zjadany żywcem przez niewiarygodne ilości komarów, patrzyłem z zazdrością na prawdziwie frontowe obrazy grzmiącej do nadlatujących tysięcznymi stadami kaczek linii strzelców. Po zapadnięciu zmroku obraz płomieni wydobywających się z luf myśliwskich dubeltówek był doprawdy niesamowity. Najbardziej aktywnych i skutecznych strzelców tamtejszego koła łowieckiego rozkłady kaczek w sezonie liczyły setki ptaków. Mnie szło wieczorami znacznie gorzej. Stara, otrzymana od ojca szesnastka, jakoś ówczesnych naboju śrutowych, ale przede wszystkim brak doświadczenia i umiejętności strzeleckich oraz obiektywnie niełatwe warunki polowania ważyły na moich ówczesnych rozkładach. Za to Bim nie pozwalała, aby zgubiła się nam choć jedna, z takim trudem zdobyta kaczka. Nie wiem jak współcześnie wygląda stan kaczek w tamtych okolicach, ale zapewne podobnie jak w pozostałej części Krainy Wielkich Jezior, a więc kiepsko. Czy winę za to ponoszą norki amerykańskie, uciekinierki z hodowli futerkowych, znakomicie zaaklimatyzowane w tamtych stronach, czy inne czynniki, takich polowań, jak w latach 70-tych ubiegłego stulecia, pewnie długo, a może i nigdy nie zobaczymy.

Kaczki na Opolszczyźnie

Jest takie miejsce na Opolszczyźnie, które wielu myśliwym, może nawet większości, kojarzy się ze wspaniałymi rykowiskami czy znakomitymi zbiorówkami na dziki. Mnie Bory Stobrawskie kojarzą się głównie z kawkami, choć i z grubym zwierzem miałem tam niejedno spotkanie. Zatopione wśród rozległych lasów stawy pełne czystej wody, z unoszącymi się nad ich powierzchnią orłami (tak, tak!), kraina wydry, bobra oraz wspaniali, pełni pasji myśliwi, dobra organizacja, a przede wszystkim doskonale, jak na te czasy stany kaczek. Nie sposób opowiedzieć o każdym z polowań, niech mi więc czytelnik pozwoli zarysować tylko parę obrazów tkwiących we mnie, obrazów zbudowanych z emocji różnych polowań i nawet różnych miejsc tamtej przestrzeni.



Obraz pierwszy. Było to już lata temu. Wziąłem ze sobą młodą jeszcze wtedy Jagę, krótkowłosą wyzlicę. Polujemy na stawach w łowisku będącym OHZ-tem Lasów Państwowych. Rozprowadzający wskazuje moje stanowisko na śródleśnej grobli, przed którą mam całe morze wysokiego, gęstego trzcinowiska. Wskazując miejsce, zachęca do sforsowania szerokiego pasa trzciny i dojścia do granicy lustra wody, nad którą łatwiej dojść do strzału. Ruszam przez trzciny w kierunku niewidocznej z mojego miejsca ich granicy. Z trudem przebijam się przez gęsty szuwar, woda coraz głębsza i marsz coraz trudniejszy. Na granicy trzciny, po przejściu może 50 metrów, wodę mam już do pasa i ledwo idę. Słychać trąbkę, zaczynają padać strzały. Z trudem wdrapuję się na niewielką, chwiejącą się, ale potrafiącą mnie utrzymać pływającą wyspę, zbudowaną z resztek trzciny i gałęzi. Rozglądam się za Jagą, jednocześnie wypatrując kaczek. Po ruchu trzciny widzę, że suka mozolnie podąża za mną. Wtedy zaczynają nadlatywać kaczki... Strzelam, ładuję, znowu strzelam,

a kaczki ciągle nadlatują. W tym czasie Jaga, widząc, co się dzieje, zaczyna znosić mi strzelone kaczki. Podpływa do mojej wysepki, oddaje w wodzie kaczkę do ręki i płynie po następną, następną i następną. Bez słowa komendy, bez jakiegokolwiek zachęty z mojej strony – po prostu razem polujemy, rozumiejąc się bez słów. Kończy się miot, ześlizguję się z mojej wysepki i przez trzciny, dźwigając pęk kaczek, wychodzę na groblę. Nie wiem, czy całość trwała dłużej niż 40 minut, ale intensywność tego polowania oraz praca Jagi, to jedne z moich najmocniejszych kaczyczych wspomnień.

Obraz drugi – rok 2015. Polujemy na stawach niedaleko miejsca opisanego wyżej, ale na terenie obwodu miejscowego koła łowieckiego. Polujemy dwa kolejne dni. Kaczek, jak zawsze na tych stawach, było sporo i pokot po pierwszym dniu wyglądał naprawdę dobrze. Byłem wtedy z synem Mackiem oraz Goranem i Gapą, która pierwszego dnia mocno napracowała się w szuwarze, a ja, brodząc jak zwykle, również czułem w kościach trudy wczorajszego polowania.

Postanowiłem drugi dzień rozegrać inaczej. Zgodnie z tradycją poszedłem z Gapą brodzić, jednak zamiast dubeltówki wziąłem tym razem aparat fotograficzny. Nie żałowałem tej decyzji ani chwili. Wolny od łowieckich obowiązków, mogłem przyjrzeć się dokładnie pracy psa z poziomu, z którego on widzi swoje zadanie, a więc z poziomu wody. To, czego nie zobaczyłem na stawie, odsłoniły zrobione zdjęcia. Było to naprawdę wspaniałe doświadczenie.

Zamieszczony poniżej, skrócony niestety mocno do tej publikacji, fotoreportaż z tego polowania wymaga jeszcze paru dodatkowych słów wyjaśnienia pozwalających lepiej związać obraz ze zdarzeniami na stawie. Staw, w którym toczyła się akcja, miał co najmniej kilkunastohektarową powierzchnię, z kilkoma niewielkimi wysepkami oraz kształt zbliżony do prostokąta, przy czym, główny macecznik kaczek znajdował się w szuwarze ciągnącym się wzdłuż jego lewego boku oraz grobli czołowej. Wzdłuż tych właśnie dwóch ścian szuwaru, od strony wody, wędrowałem z Gapą. Po dojściu do końca czołowej grobli wyszedłem z suką na

suchy ląd i w drodze powrotnej pomagałem kolegom wyszukać strzelone wzdłuż grobli kaczki. Przeszliśmy setki metrów wzdłuż pasa trzciny, a Gapa wyszukiwała ukryte w jego czeluściach kaczki, podrywała je do lotu, aportowała leżące na otwartej wodzie, a w drodze powrotnej, już na grobli, wyszukiwała postrzałki w szuwarze. Robiła naprawdę gigantyczną pracę.

Kolejny obraz - dwa lata później. Bierzymy znany mi staw, a właściwie kompleks stawów, z których jeden wciną się głęboko w las. Znam to miejsce od lat, toteż zgodnie z poprzednim zwyczajem i za zgodą, a nawet zachętą prowadzącego biorę psy – tym razem Gapę oraz młodą Herę – i ruszam leśną drogą w kierunku znajdującego się na szczycie stawu rozległego trzcinowiska. Z prowadzącym jesteśmy umówieni tak, że daje sygnał trąbką, kiedy zobaczy, że wchodzi z psami do wody. Strzelcy zajmują stanowiska, ja biorę suki i zajmuję pozycję wyjściową. Trąbka rozlega się nieomal w momencie, kiedy dochodzę na swoje miejsce. Zaczynają padać strzały. Widzę pierwsze nadlatujące stadko. Strzelam –





kaczka spada, ale widzę, że nie jest dobrze trafiona. Przez wąski szuwar ruszam na staw z Gapą. Hera poszła za postrzałkiem. To, co dzieje się potem w tym pędzeniu, naprawdę trudno opisać słowami. Idę granicą trzciniwiska od strony wody. Początkowo wodę mam do kolan, potem do pasa, chwilami nawet do piersi. Hera przyniosła postrzałka i ruszyła za Gapą w szuwar. Wtedy zaczynają rwać się setki, dosłownie setki kaczek. Stadko za stadkiem. Pojedyncze i znowu stadka. Grobla, na którą większość kaczek leci, grzmi niemilknącym ogniem. Mnie po dojeździe do połowy stawu kończy się amunicja, choć wziąłem do stawu całą paczkę. Trudno. Pracuję dalej, psy szaleją w szuwarze. Woda coraz głębsza, tak że na końcu stawu mam ją już prawie do piersi. W końcu przebijam się do grobli, która cichnie pod koniec pędzenia. Cichnie nie z braku kaczek, lecz z braku amunicji! Wielkość pokotu nie jest oczywiście najważniejsza, ale tego dnia, na tym stawie, zbliżyliśmy się do pamiętnych rekordowych wyników z czasów mojej młodości.

Bezcenna była mina jednego z myśliwych na grobli, Włocha – w zasadzie przez przypadek trafił na to polowanie zachęcony przez polską część rodziny, którą odwiedził. Nie potrafił wykrztusić z siebie słowa przez co najmniej kilkanaście minut, czyli jak na Włocha przez wieczność. Całe pędzenie trwało nie więcej niż 30-40 minut, a zdjęcie moje i Gapy bezpośrednio po wyjściu ze stawu zrobił Jacek broniący dzielnie i skutecznie – vide leżące kaczki – grobli przez nalotem kaczek.

Stawy oświęcimskie oraz polowania w moim kole

Nie byłoby pełnego obrazu polowań na kaczki z synem oraz naszymi wyzłami i labradorami, gdybym nie pokazał obrazów z polowań na stawach Koła Łowieckiego „Cyranka”, stawach będących częścią ogromnego kompleksu stawów oświęcimsko-zatorskich. Obraz nie byłby też kompletny bez choćby kilku obrazów z polowań w moim kole. Pierwsze opisują bardzo dobrze klasyczne polowania pędzeniami na rozległych stawach, drugie przeciwnie, po-

kazują obrazy z indywidualnych wędrówek po niewielkich stawach.

Zakończenie

Na czym właściwie polega magia polowania na kaczki? Czy w moim wypadku jej źródłem jest pamięć i tęsknota za młodzieńczymi łowami z całą emocjonalną otoczką tamtego czasu? Czy może niecierpliwie wyczekiwany początek wielkiego sezonu polowań? Może zapach i kolorystyka dojrzałego lata? Zapewne po trosze wszystko w takich bądź innych proporcjach, ale z pewnością jednym z elementów, bez którego całość obrazu od razu traci barwę, jest pies. W tym miejscu wyzłarze wybaczą mi małą dygresję.

Miałem szczęście polować na kaczki z wyzłem szorstkowłosym, dużo polowałem z labradorami, a teraz od kilkunastu już lat buszuję po stawach z wyzłami niemieckimi krótkowłosymi. W pracy na wodzie widywałem spaniele, teriery, różnego rodzaju mieszance zwane dumnie przez właścicieli „wyzłami” i wiele innych. Gdybym miał wskazać zwycięzcę w tej rywalizacji, musiałbym wytypować labradora. Wyzłarze, wybaczcie!!!

Moja Mufa, Neska i Buba, a nawet praktycznie kanapowa Pufa w pracy w szuwarze,

przede wszystkim zaś w dochodzeniu postrzałków, w cierpliwości i dokładności w pracy, w odporności na trudy różnych warunków terenowych i pogodowych nie miały sobie równych. One rodziły się z tą wiedzą i tylko ją doskonaliły w czasie życia. Nie zapomnę polowania na rozległych stawach niedaleko ode mnie. Na tamtych polowaniach zwyczajem było, że kaczki pędzone były zawsze przez łódkarzy, i o brodzeniu nie było nawet mowy. Za to dobrym obyczajem było polowanie na wieczornych przelotach, na zakończenie łowieckiego dnia. Oprócz wyzłicy Jagi – bardzo już doświadczonej i do tego znakomicie pracującej w wodzie – wziąłem wtedy młodą, prawie dwuletnią kremową labradorkę Pufę. Dla Pufy było to pierwsze polowanie w życiu! Nikt nigdy nie uczył jej aportu, gdyż była i zresztą nadal jest poczciwym psem do towarzystwa. Staliśmy w paru strzelców na grobli pomiędzy sporymi stawami. Staw za nami pokryty był w znacznym stopniu rośliną nazywaną potocznie orzechem wodnym (*Trapa natans* L.), charakteryzującą się dużą ilością sporych owoców pokrytych nieprzyjemnymi kolcami czepiającymi się sierści





psa. Dla psów podejmujących aport była to bardzo niemiła przeszkoda, tym bardziej, że gęsto rosnące rośliny tworzyły też trudny do sforsowania kozuch. Kaczek było sporo, ale szczęśliwie spadały niedaleko brzegu, głównie na czysty staw przed nami. Psy aportowały je bez większego trudu.

Zbliżał się koniec polowania, kiedy niemal jednocześnie nadleciały łyska i krzyżówka, które stracili moi sąsiedzi z lewej strony. Strzelane były dosyć wysoko i energią swojej szybkości spadły daleko, prawie na środek stawu za nami. Jaga i Pufa, widząc spadające ptaki, poszły po aport. Byłem bardzo ciekawy, jak sobie dadzą radę w naprawdę trudnych warunkach. W wodzie stawkę prowadziła początkowo wyraźnie szybsza wyżlica, jednak stopniowo w gąszczu kłującej roślinności zaczęła tracić impet. Trzeba w tym miejscu powiedzieć, że łyska, do której początkowo obie płynęły, leżała dobre 50 metrów od brzegu. Ostatecznie Jaga odpuściła i zawróciła po bliżej leżącą sztukę, którą pięknie zaaportowała. Labradorka natomiast nie dała za wygraną. Przebiła się przez kłujące i ciągnące się za nią łodygi i doszła leżącą w orzechu wodnym łyskę. Reszta była już tylko formalnością. Powtórzę – to było jej pierwsze polowanie w życiu.

Jest w polskiej przedwojennej tradycji łowieckiej wspomnienie o pewnym Belgu, generale w służbie brytyjskiej, nazwiskiem Adrian Carton de Wiart. Był to człowiek niezwykle i z pewnością warto przeczytać historię jego życia, do czego bardzo zachęcam. Otóż w latach dwudziestych ubiegłego stulecia, po zakończonej niedawno wojnie bolszewickiej, ów Belg, wtedy szef brytyjskiej misji wojskowej w Polsce, osiedlił się w niewielkim majątku leżącym na terenie Kresów Wschodnich. Dlaczego? Niektórzy mówią, że nie bez znaczenia była bliskość granicy z sowiecką Rosją, ale z pewnością ważkim powodem, dla którego brytyjski generał zamieszkał na białoruskich bagnach, było polowanie. Jego pasją były kaczki. Pomimo wyniesionego z kolejnych wojen kalectwa był znakomitym strzelcem i zapalonym myśliwym. Na kaczki polował namiętnie. Ze swoim czarnym labradorem strzelał, jak sam twierdził, około tysiąca kaczek w sezonie. Tak, właśnie z labradorem.

Wróćmy jednak do wyżłów, ale też do tradycji. Jest w niej przecież pamięć o polskim wyżle dowodnym, który nie doczekał naszych czasów, lecz jego krew płynie, być może, we współczesnych wyżłach kontynentalnych. Po labradorze drugim psem,

którego bym wytypował do pracy w wodzie, jest wyżel niemiecki. Bez różnicy, czy szorstko- czy krótkowłose.

Obie rasy mają pasję i twardość niezbędne do pracy w wodzie. Wbrew powszechnej opinii nie uważam, by szorstkowłose były lepiej wyposażone przez naturę do pracy w bardzo trudnych warunkach. Wyżły niemieckie dobrze aportują. Niezwykle również ważna jest ich inteligencja i umiejętność pracy bardzo samodzielnej, jednocześnie w pełnym kontakcie z przewodnikiem. Nad labradorem górują z pewnością dynamiką i szybkością, co dla mnie jest ważnym elementem oczekiwań.

Jednak zawsze w przygotowaniu psa do polowania najważniejszy jest człowiek. Zwykłym problemem prowadzących, szczególnie widocznym w czasie zbiorowych polowań na kaczki, jest paraliżujący lęk przed „wyjściem” towarzysza łowów „z ręki”. Stąd magia smyczy, obroży i gwizdka, nie mówiąc już o innych pomysłach współczesnej myśli technicznej mających owemu wyjściu zapobiec. Wróć jeszcze kiedyś do tego ważnego wątku. Tutaj naprawdę jedynie parę słów. Chyba że-

den rodzaj polowania nie karci tak, jak polowanie na kaczki za niewolnicze trzymanie się schematów prowadzenia wyżła. Nie sposób zliczyć niepodniesionych ptaków tylko z powodu utrudniania pracy psu przez nadmierne „opiekuńczego” menera. Osławione rzucanie kamyczkami mającymi wskazać psu kierunek pracy, wcześniej systematycznie dezorientowanemu sposobem prowadzenia, ciągle są standardem na naszych polowaniach. Na koniec powiem najprościej, jak się da: jeżeli myśliwy sam boi się wody, czuje się nad nią niepewnie, a nie daj Boże nie potrafi pływać, wszystkie swoje ograniczenia w ten czy w inny sposób przeleje na swojego psa.



Zbigniew Ciemniowski
dr hab. n. med., kardiolog, myśliwy z prawie 50-letnim stażem, autor licznych artykułów o łowiectwie w Gwarectwie Myśliwych, Braci Łowieckiej i Łowcu Polskim oraz na stronie www.psymoje.pl, miłośnik polowania z wyżłem, hodowca – hodowla „ze Skolnitego”, założyciel Klubu Wyżłów przy Polskim Związku Łowieckim





PATRYK SIKORA



JESIEŃ





Marek Kubis

Pielgrzymka do grobu św. Huberta na 100-lecie PZŁ

Pomysł tego wyjazdu zrodził się dziesięć lat temu, w 2013 roku, przy okazji obchodów 60-lecia Koła Łowieckiego „Szarak” w Skale. Wówczas wspólnie z naszym kapłanem księdzem Stanisławem Langerem z Grodziska, który jest wytrwałym globtroterem i pielgrzymem, zaplanowaliśmy wyjazd do Saint Hubert, ale niestety było niewielu chętnych. Stulecie powstania Polskiego Związku Łowieckiego i 70-lecie Koła Łowieckiego „Szarak” w Skale było idealną okazją do zrealizowania tego zamierzenia. Byliśmy już w Budapeszcie na Światowej Wystawie Łowiectwa, w Norymberdze na IWI-e, w Biebrzańskim Parku Narodowym szukaliśmy batalionów, ponadto Malbork, Zamość, Rzeszów, kilkakrotnie Targi Łowieckie w Warszawie, Hubertus w Spale. Tym razem będzie to tygodniowa wyprawa.

Wyjeżdżamy wcześniej rano w Dzień Zaduszny. Jedzie nas osiem osób: niżej podpisany Marek Kubis, Krystyna Kubis, Magdalena Wilkosz Klimsza, Janusz Klimsza, Barbara Janiszewska, Tomasz Janiszewski, Jacek Wilk oraz nasz kapelan, ksiądz Stanisław Langern. Pogoda jesienna, jest zimno, ale na szczęście deszcz przestał padać, wyszło słońce a Ardeny kolorystyką przypominają polskie Bieszczady. Do Saint Hubert docieramy 3-go listopada w południe. Właśnie

rozpoczynają się uroczystości. Przypominają trochę nasz odpust. Są liczne kramy, dużo ludzi, większość w strojach organizacyjnych, ale największe wrażenie robi ilość i różnorodność psów myśliwskich. Nasz podziw wzbudzają piękne duże psy św. Huberta, bloodhoundy. Jest liczna grupa sokolników. Mnie przypada rola chorążego. Kolega Tomasz gra sygnały: „Zbiórka Myśliwych” i „Apel na Łowy”. Dołączamy do procesji, na czele której jest niesiona figura św. Huberta.

Mimo, że nigdy nie uważałem polskiego modelu łowiectwa za najlepszy w całym świecie i mam do niego wiele zastrzeżeń, to teraz z dumą niosę sztandar Polskiego Związku Łowieckiego i jednocześnie Koła Łowieckiego „Szarak” w Skale. Wszak na jego awersie widnieje postać św. Huberta Biskupa. Nasze stroje galowe rzucają się w oczy, gdy dumnie kroczymy przez środek bazyliki pod sam ołtarz. Koncelebrze przewodniczy opat klasztoru bernardynów, jeden z celebransów, nasz kapelan ksiądz Stanisław. Mszę rozpoczynają sygnaliści grający na rogach francuskich. Taki koncert słyszymy po raz pierwszy. Ponad trzydzieści instrumentów w bazylice z dobrą akustyką daje niesamowity efekt. Potem śpiewy chórów. W trakcie mszy wprowadzamy polski akcent – nasze panie, Krystyna Kubis i Magdalena Wilkosz-Klimsza,

niosą dary ołtarza. Jest to kosz z płodami naszych pól i kniei, a w nim wyborne wędliny z dziczyzny, kilka butelek z nalewkami oraz piękna świeca z izerunkiem św. Huberta wykonana przez naszych przyjaciół Renatę i Romka Płatków. Jest pięknie i uroczyście. Warto było przyjechać.

Saint Hubert to niewielkie walońskie miasteczko, od roku 1991 nosi tytuł europejskiej stolicy łowiectwa. Dość zaniedbane, położone z dala od głównych szlaków turystycznych. Ale Basilique St Hubert, najwspanialsza budowla w Ardenach, robi wrażenie. Głównie z zewnątrz. Kult św. Huberta rozpoczął się niedługo po jego śmierci, a istniejące już od 687 roku opactwo ojców Benedyktynów nabrało znaczenia po przeniesieniu do niego relikwii świętego. Sam kościół był wielokrotnie przebudowywany, w podziemiach zachowały się elementy romańskie. Dokładne miejsce pochówku biskupa Huberta nie jest znane. Mimo wielu pięknych elementów wnętrze robi jednak przygnębiające wrażenie. Rzucają się w oczy siatki zabezpieczające turystów i wiernych przed spadającymi fragmentami tyków i rzeźb. Jest to bardzo powszechny widok w Belgii i Holandii – puste kościoły odnowione z zewnątrz, ale wewnątrz nie ma komu o nie zadbać. Po nabożeństwie krótki spacer po miasteczku. Bel-

gowie chętnie fotografują się z nami i podziwiają nasze mundury i sztandar. Rozpie-ra nas duma. Ale musimy się śpieszyć. Przed nami klasztor i opactwo bernardyńskie w Maredsous.

Opactwo Maredsous zostało założone w 1872 roku w dolinie Molignée przez mnichów benedyktynów. Wybudowane w stylu neogotyckim doskonale komponuje się z zalesioną i pofałdowaną przyrodą regionu. Emanuje duchowością. Kościół, klasztor, biblioteka, różne budynki gospodarcze, takie jak szkoła rzemiosła artystycznego i ośrodek recepcyjny św. Józefa tworzą harmonijną całość, zachęcają do spacerów i edytacji. Podobnie jak cystersi i trapiści, mnisi z tutejszego opactwa zgodzili się przestrzegać reguły św. Benedykta, co sprawia, że dzielą swoje życie pomiędzy modlitwę, pracę i tradycję gościnności. Nas najbardziej interesują flamandzkie piwa i sery, które mnisi tutaj produkują. Z przewodnikiem zwiedzamy zabudowania. Krótka wycieczka kończy się degustacją; pięć rodzajów piwa i ser z mieszanką miejscowych przypraw ziołowych są wyborne.

Następny dzień przeznaczamy na zwiedzanie ciekawych miejsc w Ardenach. Zaczynamy od Dinant, miasta bogini łowów Diany. Uchodzi za najpiękniejsze w Belgii. Jest historycznym miastem założonym



przez Rzymian w pięknej okolicy, pomiędzy kamiennymi klifami, a rzeką Mozą, którą płyną liczne barki, statki i łodzie. Nad miastem górują: romański z elementami gotyku kościół Notre Dame oraz stojąca na szczycie skały cytadela. Swój rozkwit miasto przeżywało w XIV wieku. Słynie z wyrobów z miedzi i brązu. To tutaj Adolph Sax wymyślił i zbudował saxofon. Strategiczne położenie i bogactwo wzbudzały zazdrość, co było powodem licznych najazdów. Również dwie wojny światowe pozostawiły swoje piętno.

Następny przystanek na naszym szlaku to Lavaux-Sainte-Anne. Niewielka osada, którą również założyli Rzymianie, z wspaniałym średniowiecznym zamkiem. W jego wnętrzu znajduje się muzeum przyrody i łowiectwa. Okazuje się, że młody człowiek, który sprzedaje bilety i pamiątki, również jest myśliwym. Rozmawiamy o problemach łowiectwa w Polsce i Belgii. Są zaskakująco zbieżne. Pseudo ekologowie to organizacje o zasięgu międzynarodowym. Oglądamy ciekawe zbiory i wyruszamy w dalszą drogę.

Przed nami Bauillon, malownicze miasto w południowo-wschodniej Belgii nad rzeką Semois położone kilka kilometrów od granicy z Francją. Nad miejscowością w zakolu rzeki góruje potężny X-wieczny zamek, którego właścicielem był jeden z przywódców pierwszej wyprawy krzyżowej do Jerozolimy – Gotfryd de Bouillon. Z zamku roztacza się piękny widok na dolinę rzeki i senne o tej porze roku miasteczko. Zmrok szybko zapada, pogoda również nie sprzyja, ale krótki spacer tajemniczymi uliczkami nastraja romantycznie. Teraz powrót do Provèdroux, gdzie nocujemy. Jutro wcześniej rano wyjazd do Holandii.

Niestety to już późna jesień. Wrzosa już przekwitła a tulipany zakwitną dopiero wiosną. Z Ardenów wjeżdżamy w równinne tereny Holandii poprzecinane licznymi rzekami i kanałami. Wypatrujemy charakterystycznych wiatraków, ale one są bardziej na północy kraju. Tam nie dojedziemy. Może innym razem. Teraz naszym celem jest Doorwerth, miejscowość nieopodal Arnhem. Tutaj w niewielkim zamku, które-

go początki sięgają XIII wieku, myśliwi z Holandii utworzyli muzeum poświęcone łowiectwu.

W latach 60. i 70. przez kraj przetoczyła się fala krytyki wobec łowiectwa i myśliwych, ale była jednocześnie inspiracją dla Holenderskiego Towarzystwa Myśliwskiego do podjęcia działań, których celem była zmiana niekorzystnego obrazu myślistwa i okazania go jako ważnego elementu kultury narodowej. Powołana została fundacja Stichting Het Nederlands Jachtmuseum. Przystąpiono do gromadzenia zbiorów i wybrano zamek, w którym postanowiono utworzyć muzeum. Zamek wymagał gruntownego remontu, gdyż został poważnie zniszczony w czasie walk o most w Arnhem. Obecnie w muzeum zgromadzone są zbiory związane z łowiectwem, przyrodą, leśnictwem i historią zamku.

Pośród zbiorów zainteresowanie wzbudzają bardzo długie strzelby szuwarowe oraz prawdziwe armaty umieszczone na łodziach, ładowane bardzo dużymi ładunkami prochu i śrutu. Po strzale z takiej broni do stada kaczek siedzących na wodzie zbierano często po kilkaset ptaków. No cóż, co kraj to inna etyka i kultura łowiecka, ale dziczyzna stanowiła bardzo ważny element gospodar-

ki. Oglądamy piękne obrazy mistrzów holenderskich ze scenami rodzajowymi z polowań. Moje zainteresowanie wzbudzają prace malarskie dzieci. Odbывают się tutaj warsztaty z najmłodszymi, w czasie których mogą poznawać przyrodę, łowiectwo, wyrażać swoje wizje. W Holandii, tak jak w innych normalnych krajach, dzieci mogą uczestniczyć w polowaniach.

Holandia to kraj o bardzo małej lesistości. Zwierzyny grubej jest niewiele. Natomiast żyzne poldery poprzecinane licznymi kanałami stanowią raj dla ptactwa wodnego. Zapoznaliśmy się z eendenkooi – ciekawą metodą odłowu dzikich kaczek z wykorzystaniem własnego oswojonego stadka i niewielkiego pieska.

Przed nami De Hoge Veluwe (*veluwe* to nieurodzajna ziemia). Zajmujący ponad 5,5 tys. hektarów Park Narodowy to głównie rozległe wrzosowiska, złociste wydmy, gęste lasy, rzeki i jeziora – wszystko pełne zwierzyny. Żyjący na początku XX wieku Antoni Krölller i jego żona Helena Krölller-Müller byli właścicielami tych terenów. Dzięki niesamowitym zdolnościom handlowym, talentom organizacyjnym i ciężkiej pracy dorobili się ogromnego majątku. Posiadali kopalnie i huty żelaza w całej Eu-





ropie, kopalnie złota na Syberii. Łowiectwo było bliskie obydwoju, ale to Helen zarządzała kopalniami i fabrykami a Antoni oddawał się z upodobaniem pasji myśliwskiej. Kiedy postanawiają wybudować dom myśliwski zatrudniają Hendrika Petrusa Berlage, wybitnego artystę, architekta, osobę z gruntownym wykształceniem z zakresu filozofii i estetyki. Dają mu wolną rękę i nieograniczone fundusze oraz roczne wynagrodzenie stanowiące dzisiaj równowartość 350 tys. euro. Ostateczny koszt budowy willi zamknął się kwotą 6,5 mln. ówczesnych guldenów, co stanowi równowartość 65 mln. euro. Willa z lotu ptaka przypomina głowę jelenia z rozłożystym wieńcem. Została wybudowana z cegły a wewnątrz wyłożono glazurowaną na kolorowo ceramiką i barwnymi płytkami kamiennymi. Na samym wejściu zachwyty wzbudza piękny witraż ze scenami z życia św. Huberta i szafa z bronią pana domu. Berlage zadbał o wszystkie szczegóły, dobrze przemyślane rozmieszczenie instalacji elektrycznej i wentylacji. Specjalnie zaprojektowane wyłącz-

niki i gniazdka, wszystkie meble, dywany, rzeźby, obrazy mają swoje określone miejsce i są jego dziełem. Nawet zastawa stołowa, sztucce, wazon, zasłony w oknach, czy przemyślna skrytka na cygara w zegarze w palarni i maleńkie filiżanki w buduarze. Jako że pani Helena lubiła podróże kolejną wiele elementów np.: okna w salonie czy stalowe belki w gabinecie nawiązują do elementów wagonu. Obiekt szczęśliwie przetrwał II wojnę światową i w nienaruszonym stanie zachował się do dzisiaj.

Z willi udajemy się do Muzeum Kröller-Müller z jedną z najciekawszych kolekcji sztuki współczesnej w Holandii. Perłą kolekcji jest ponad 270 obrazów Vincenta van Gogha, wybitnego postimpresjonisty. Zachwycają „Pola pszenicy ze żniwiarzem i słońcem”, „Taras kawiarni w nocy”, „Głowa wieśniaka z fajką”, „Słoneczniki”. Ponadto dzieła Pabla Picassa, Pieta Mondriana, Juana Grisasa. Moją uwagę zwrócił obraz „Bos, Boyarka” Oleksandra Bohomazowa z 1915 roku. Już wiem skąd się wzięło i co znaczy określenie bohomaz. Na tyłach muzeum, na po-

wierzchni 20 ha, urządzono park rzeźb, z pracami Auguste’a Rodina, Barbary Hepworth i Richarda Serry.

Teraz tylko krótki przejazd do Otterlo, naszej bazy w Holandii, i zasłużony wypoczynek po naprawę intensywnym dniem.

Warto zauważyć, że wszystkie te muzea, parki narodowe stanowią własność prywatną. Są zarządzane przez powołane do tego fundacje. Tak jest również z willą św. Huberta. Ciągłe w niej mieszkają potomkowie właścicieli Heleny i Antoniego. Pieniądze, jakie uzyskują ze sprzedaży biletów, stanowią tylko niewielki procent budżetu potrzebnego do utrzymania i bieżących napraw zabytkowych obiektów. Liczba osób odwiedzających willę jest ograniczona. W sezonie bilety trzeba rezerwować z dużym wyprzedzeniem. Również liczba osób odwiedzających park jest limitowana.

Pozostał ostatni dzień. Tym razem nostalgiczno-sentymentalny. Rozpoczynamy od wyjazdu do Arnhem-Oosterbeek na Cmentarz Wojenny zwany też Cmentarzem Spadochroniarzy. Został założony w 1945 roku. Większość pochowanych tutaj to alianccy żołnierze polegli w operacji Market-Garden, alianckiej próbie przekroczenia Renu we wrześniu 1944 r. oraz podczas wyzwolenia miasta w następnym roku.

We wrześniu 1944 r. alianci rozpoczęli operację Market-Garden mającą na celu ominięcie linii Zygfryda i wkroczenie do Zagłębia Ruhry, przemysłowego centrum Niemiec. Miało to przyspieszyć zakończenie wojny. Operacja wymagała od 1 Korpusu Powietrznodesantowego zdobycie kilku mostów nad rzekami i kanałami w Holandii, umożliwiając siłom lądowym szybkie przemieszczenie się przez południe Holandii i przeprawę przez Ren. Brytyjska 1 Dywizja Powietrznodesantowa w skład, której wchodziła 1 Samodzielna Brygada Spadochronowa pod dowództwem generała Stanisława Sosabowskiego miała za zadanie zabezpieczyć najodleglejsze cele – mosty nad dolnym Renem w Arnhem. Dywizja została zrzucona na ten teren 17 września jednak nieoczekiwana obecność niemieckiego II Korpusu Pancernego SS spowodowała, że alianci nie byli w stanie zrealizować swoich zadań i nie mogąc nawiązać kontaktu ze zbliżającymi się siłami lądowymi dywizja została wycofana 25 września. Była to największa operacja wojsk alianckich podczas II wojny światowej. Po stronie aliantów zginęło prawie 2 tys. żołnierzy, w tym 92 z 1 Samodzielnej Brygady Spadochronowej.

W strojach galowych ze sztandarem PZŁ i Koła Łowieckiego „Szarak” w Skale idzie-





Belgii i w ramach II Korpusu Kanadyjskiego ruszyła do walki przekraczając granicę holenderską. Dowodzący Dywizją gen. Stanisław Maczek otrzymał rozkaz zdobycia Bredy, największego miasta Brabancji Północnej, a przy tym ważnego węzła transportu drogowego, kolejowego i rzeczno-eg. Bitwa trwała do 30 października. Polacy atakowali bez przygotowania artyleryjskiego. Aby uniknąć strat wśród ludności cywilnej i oszczędzić zabytkową zabudowę miasta wykorzystali zaskocze-

my pod monumentalny Krzyż Poświęcenia (*Cross of Sacrifice*). Składamy wieniec z białoczerwonymi wstążkami, zapalamy znicze, kol. Tomasz Janiszewski gra sygnały na rogu, odmawiamy różaniec za zmarłych, salut sztandarem i pamiątkowe zdjęcia. Nasza niewielka grupa wzbudza powszechne zainteresowanie. Ludzie z różnych stron świata dopytują skąd jesteście, co to za stroje, co oznacza ten sztandar. Podchodzi do nas starsza pani i zaczyna się rozmowa. Okazuje się, że mieszka w Arnheim. Przyszła na grób brata męża, który tutaj spoczywa. Dwóch braci Polaków brało udział w desancie. Obaj zostali w Arnheim, jeden na cmentarzu, a drugi znalazł miłość i swoje miejsce w Holandii. Do Polski nie miał gdzie wracać.

W drodze do Bredy przejeżdżamy przez most na Renie, ten który był „za daleko”. Jedziemy na kolejną polską nekropolię w Holandii. Składamy hołd polskim żołnierzom z 1 Dywizji Pancerniej. Po zakończeniu kampanii w Normandii polska 1 Dywizja Pancerna została skierowana do

nie i doskonale przygotowany manewr okrążający. Po zwycięskiej bitwie 1 Dywizja Pancerna defilowała przez Bredę, witana entuzjastycznie przez miejscowych Holendrów. W toku „operacji Breda” 1 Dywizja Pancerna straciła 69 oficerów i 876 szeregowych – zabitych, rannych i zaginionych. W uznaniu za wyzwolenie miasta, bez strat wśród ludności cywilnej, wszyscy żołnierze 1 Dywizji Pancerniej otrzymali Honorowe Obywatelstwo Bredy. Na polskim cmentarzu pochowanych jest 162 żołnierzy polskich a w roku 1994 dołączył do nich dowódca generał Stanisław Maczek. Nie mogąc wrócić do kraju, gdzie czekały ich represje, wielu „maczkowców” osiedliło się na stałe w Holandii, gdzie zakładali polskoholenderskie rodziny i mieszkali tam przez resztę życia. Znów składamy wieniec, zapalamy znicze, odmawiamy różaniec, chwila zadumy, salutujemy sztandarem. Liczne kwiaty, wieńce, zapalone znicze świadczą o ciągle żywej pamięci o tych, którzy tutaj spoczywają.

Jeszcze tyle ciekawych miejsc, które

chcielibyśmy zobaczyć, wpaść choć na chwilę. Ale czas nieubłaganie ucieka, musimy podjąć decyzję, co jeszcze zobaczymy. Wybór pada na 's-Hertogenbosch, stolicę północnej Brabancji. Dla Holendrów to po prostu De Bosch, oficjalna nazwa znaczy „książęcy las” i jest związana z Henrykiem I Brabanckim, który w roku 1185 nadał osadzie prawa miejskie i związane z tym przywileje handlowe. Było to miasto warowne otoczone murami, wałami obronnymi i bastionami. Wiele fragmentów tych fortyfikacji przetrwało do dziś. Dodatkowo miasto było otoczone mokradłami, co czyniło z niego warownię nie do zdobycia. Główna budowla starej części miasta to wzniesiona w latach 1330-1530 katedra św. Jana (*Sint-Janskathedraal*), sztandarowy przykład gotyku brabanckiego. Wewnątrz rząd 150 strzelistych kolumn dźwiga wysokie na 30 metrów sklepienie nawy głównej, co zapewnia całości doskonałą harmonię i lekkość. W kaplicy Najświętszej Marii Panny można zobaczyć figurę Zoete Lieve Vrouwen (Słodka Droga Pani). Ta, otoczona kultem XVIII

rzeźba przyciągała do miasta licznych pielgrzymów. 's-Hertogenbosch to również miasto Hieronymusa Boscha (ok. 1450/60 – 1516), słynnego malarza i artysty, który się tutaj urodził, żył, pracował, zmarł i został pochowany. Na trójkątnym Rynku zobaczyć więc można jego pomnik, a także dom, w którym mieszkał i miał swoją pracownię.

Nasza wyprawa dobiega końca. Ostatni wieczór, ostatnia wspólna kolacja. Te wieczorne wspólne posiłki mają swój klimat. Każdy zabrał z Polski jakieś smakołyki i nalewki. Rozmowy często przeciągają się do późnych godzin nocnych, ale nie dzisiaj. Jutro wstajemy bardzo wcześnie. Przed nami długa droga do Polski. Rano ksiądz Stanisław odprawia ostatnią mszę świętą. Szybkie śniadanie i wyjazd. Mijamy Holandię, niemieckie Zagłębie Ruhry, Berlin. Droga mija szybko. Jeszcze tylko wspomnienia na gorąco, plany na przyszłość i w godzinach nocnych docieramy do Skały. Czas pomyśleć o nowej wyprawie.

Fot. Magda Langer



Marek Kubis

Prezes Koła Łowieckiego „Szarak” w Skale, członek Klubu Kolekcjonera i Kultury Łowieckiej, Przewodniczący Komisji Kultury przy ZO PZŁ w Krakowie

Adam Benedykt Bisping

Czy muflony z Gór Sowich znikną na stałe?

Sto dwadzieścia lat temu Ernest Julius hrabia Seidlitz-Sandreczki sprowadził z Sardynii w swoje Góry Sowie muflony. Pierwsze osobniki, a było ich 5, umieszczono w zwierzyńcu w kolicach Bielawy. Muflony doskonale zaadaptowały się w tym terenie i w roku 1920 było ich już 20, a w 1937 roku doliczono się około 250 osobników. W latach 1995-2000 w Górach Sowich populacja Muflonów liczyła już 700-800 osobników.

W latach 2004-2006 sprowadzono w Góry Sowie 117 muflonów z terenu Słowacji i Czech. Introdukcja ta miała na celu wzbogacenie puli genowej, gdyż na skutek chowu wsobnego u znacznego odsetka tryków odnotowano wrastanie ślimów w kark lub żuchwę. Bardzo drogie zasiedlenia doprowadziły do istotnej poprawy zdrowia tych zwierząt i „karkowrost” stał się u tej populacji rzadkością. W roku 2018 w trzech ośrodkach hodowli zwierzyny zarządzanych przez nadleśnictwa: Świdnica, Bardo oraz Jugów doliczono się ponad 600 muflonów. W tym miejscu przytoczę pracę pani prof. Ewy Szcześniak z Zakładu Bioróżnorodności i Ochrony Szaty Roślin Instytutu Biologii Roślin Uniwersytetu Wrocławskiego pod tytułem „Obecność muflonów *Ovis aries musimon* w Polsce – czy to naprawdę konieczne?” Konkluzją tej pracy był wniosek, aby wyeliminować muflony z doliny Czyżynki ze względu na zagrożenia jakie mogą stwarzać dla istniejących tam ciepłolubnych roślin naskalnych. Usunięcie muflonów z tego terenu spowodowało zarosnięcie tych terenów samosiewem drzew i prawie całkowite wyginiecie roślin naskalnych!

W 2020 roku pojawiła się w Górach Sowich pierwsza para wilków. Po czterech latach wielkość wilczej populacji wzrosła do trzech watach po około 8 zwierząt każda, co doprowadziło do gwałtownego spadku liczebności populacji muflonów i saren oraz częściowo jeleni. Gospodarzom coraz częściej giną też psy, koty oraz inne zwierzęta domowe. Myślę, że brak kontroli nad populacją wilka spowoduje w krótkim czasie niechęć ludzi do zbierania grzybów oraz owoców leśnych i wieczornych spacerów.

W roku 2024 wiosenna inwentaryzacja wykazała, że na terenie Gór Sowich bytuje tylko około 240 muflonów, a trend liczebności jest od czterech lat spadkowy. Z kolei w ostatnim planie wieloletnim zakładano, że pod koniec dziesięcioletniego okresu na

tym terenie będzie bytowało około 600 osobników (+/- 15%).

Przypomnę jednak, że Nadleśnictwo Świdnica, miasto Bielawa i choćby miasto Pieszyce, położone koło Bielawy, które w herbie ma muflona, są kojarzone z tym rogatym ssakiem. Muflony są największą atrakcją turystyczną oraz myśliwską tych okolic. Brak ich spowoduje zmniejszenie wyjątkowości tych terenów. W restauracyjnych menu zabraknie mięsa tego gatunku, OHZ i koła łowieckie będą miały mniej pieniędzy z atrakcyjnych obecnie polowań na muflony.

Czy o to nam chodzi, żeby w polskich lasach były tylko zwierzęta drapieżne? W imię jakiej logiki mamy „oddać” przyrodę ideologicznym wyznawcom drapieżnych ptaków i ssaków? Przez niekontrolowaną obecność lisów, spowodowaną ich szczepieniem przeciw wścieklicznie, w wielu regionach kraju nie ma już kuropatw i zajęcy!

Od kilkunastu lat widzę zmiany w OHZ Bielawa. W roku 2013 na rykowisku jeleni za każdym wyjściem widziałem muflony. W tym roku, będąc na początku sezonu polowań na muflony, przez 4 wyjścia widziałem tylko jednego muflona.

Adam Benedykt Bisping

inż. zootechnik Członek PZŁ od 1979 roku od samego początku związany z KŁ Darz Bór w Krakowie. Łowczy w KŁ Darz Bór, członek Kół: Sosnowka w Kalinie Wielkiej i Czajka w Krakowie. Delegat na Krakowski Zjazd Okręgowy, Członek Komisji Oceny Prawdopodobieństwa Odstrzału





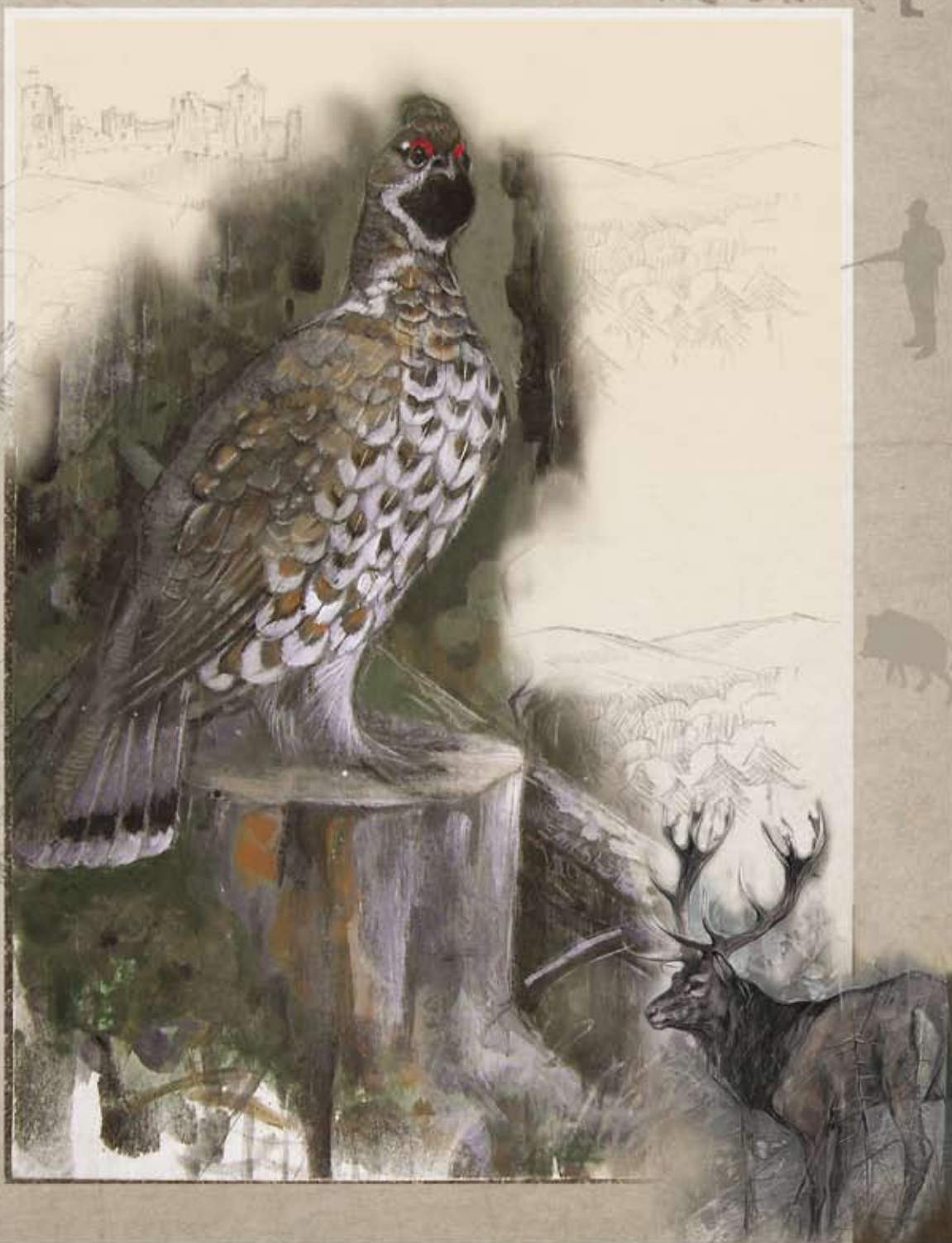
RYSZARD ADAMUS



POJEDYNEK



Koło Łowieckie „Jarząbek” w Krzeszowicach



1964 - 2024



Koło łowieckie „Jarząbek”, to koło jakich wiele, ale czy na pewno? Na zachodniej granicy obwodu, na rudniańskim wzgórzu, góruje średniowieczny zamek Tenczyn. Od strony wschodniej obwód „zamknięta” historyczna Brama Zwierzyniecka będąca wrotami do Lasu Zwierzyńiec, który już w XVI wieku był ogrodzonym obszarem łowieckim i wraz z bażanciarnią stanowił własność rodziny Potockich. Na cmentarzu w Tenczynku jest pochowany ostatni „Łowczy Hrabstwa Tenczyńskiego” Karol Albus.

Tradycje łowieckie tego terenu są ogromne. Od 1963 roku kultywuje je Koło Łowieckie „Jarząbek” w Krzeszowicach.

Początki działalności koła sięgają 12 listopada 1963 roku, kiedy to odbyło się zebranie założycielskie. Do założycieli koła należeli: Zbigniew Bazarnik, Jerzy Domagała, Jan Kowalik, Kazimierz Łagan, Stanisław Milewicz, Władysław Prochal, Włodzimierz Pruszek, Franciszek Ropka, Stanisław Sewryn i Tadeusz Welde. Początkowo koło nosiło nazwę „Żubr” w Rudawie. Następnie przemianowane zostało na „Jarząbek” w Krzeszowicach.

Od chwili założenia koło prowadzi racjo-

nalną gospodarką łowiecką współpracując z leśnikami i władzami gminnymi, gospodarując zwierzyną drobną (bażant, zając, kuropatwa) i grubą (sarna, dzik). Już w sezonie łowieckim 1995/96 podjęto próbę introdukcji bażanta. Od roku 2023 zasiedlania bażantem są kontynuowane. Pomimo ogromnej presji budownictwa mieszkalnego i znaczącego wzrostu ruchu turystycznego liczebność zwierzyny grubej na terenie obwodu stale rośnie (dziki, jelenie, losie). W ostatnich latach stwierdzono obecność wilków.

Obecnie koło gospodaruje na terenie obwodu nr 38 o powierzchni użytkowej 3163 ha, w tym lasy zajmują areał 1538 ha. Po korektach granic z bardzo słabego obwodu polnego stał się on bardzo dobrym obwodem leśnym.

W swojej historii koło wychowało wielu młodych i etycznych myśliwych. W wojewódzkich władzach funkcje członka WRŁ



i członka Komisji Strzelectwa Myśliwskiego WRŁ w Krakowie przez wiele lat sprawował prezes Henryk Kuśnierz. Koło utrzymuje bardzo dobre relacje z przedstawicielami władz samorządowych i gminnych, uczestniczy w piknikach ekologicznych organizowa-

nych na terenie gminy, bierze udział w organizacji wielu imprez edukacyjnych, prezentując eksponaty przyrodniczo-łowieckie, urządzając konkursy dla dzieci oraz udostępniając społeczności lokalnym wyroby i potrawy kuchni myśliwskiej.





W 2024 roku KŁ „Jarząbek” obchodziło 60-lecie założenia.

Podczas uroczystości w kaplicy w Nowej Wsi, która od początku działalności koła jest miejscem mszy „Hubertowskich”, odbyło się uroczyste nadanie sztandaru. Łowczy okręgowy Tomasz Ciepły przekazał sztandar prezesowi koła Henrykowi Kuśnierzowi. Podczas części oficjalnej, którą swoją obecnością zaszczytili: przedstawiciel burmistrza Krzeszowic p. Szymon Strzelichowski, sołtys wsi Tenczynek pani Katarzyna Kowal, łowczy okręgowy Tomasz Ciepły, przedstawiciele zarządu KŁ Sarna Czatkowice z prezesem Januszem Wieczorkiem oraz wielu zaprzyjaźnionych gości. Uroczystość prowadził kolega Wojciech Hudyka (przewodniczący komisji rewizyjnej koła). Koło otrzymało sztandar i zostało odznaczone Srebrnym Medalem za Zasługi Łowieckie. Złoty Medal za

Zasługi Łowieckie otrzymał prezes koła Henryk Kuśnierz. Zasłużeni członkowie koła zostali odznaczeni medalami za zasługi łowieckie: medalem srebrnym łowczy koła Bogusław Skowronek i Stanisław Gala, medalem brązowym Jerzy Bieniek, Piotr Targosz (skarbnik), Wacław Machowski i Jacek Wojewódzki.

Tradycyjna biesiada myśliwska z koncertem muzyki myśliwskiej pod batutą Leszka Węgrzyna zakończyła obchody jubileuszu.

*fot. archiwum autora
rys. Hubert Zwinczak*



Sławomir Buśko
leśnik, pracownik Nadleśnicwa Krzeszowice,
Członek Komisji Oceny Prawidłowości Odstrażału,
członek Kół Łowieckich
Jarząbek w Krzeszowicach
i Puszcza w Niepołomicach



Pomoc dla powodzian

Pomoc dla powodzian z południowo-zachodniej Polski, dotkniętych kataklizmem we wrześniu 2024 roku zaoferowało wiele krakowskich kół łowieckich. Przekazywano żywność, niezbędne środki sanitarne i techniczne oraz gotówkę. Część pomocy dotarła do potrzebujących natychmiast (bezpośredni transport samochodowy), pozostała była przekazywana w okresie późniejszym. Środki finansowe były przekazywane na konto ZG PZŁ lub bezpośrednio do poszkodowanych, ale zbiórkę prowadził też Zarząd Okręgowy PZŁ w Krakowie.

Zebrano łącznie 24 000,00 złotych.
800, 00 zł od sześciu myśliwych indywidualnych,
13 500, 00 zł od ośmiu kół łowieckich,
9 700, 00 zł, które nie zostały wydane na organizację Hubertusa Krakowskiego 2024.

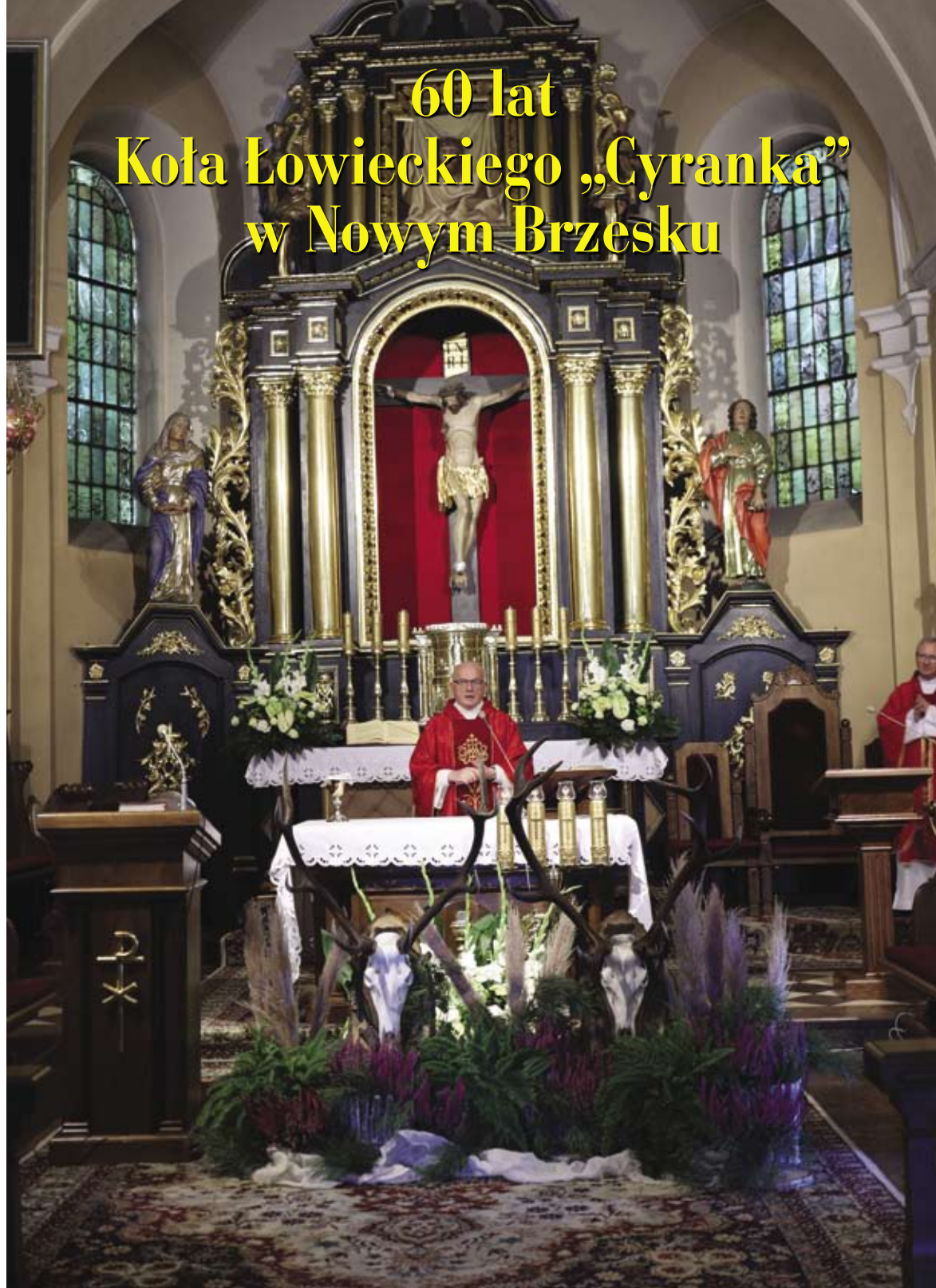
Zebrane środki podzielono pomiędzy pięć poszkodowanych rodzin (myśliwi i leśnicy) z terenu gminy Stronie Śląskie, z miejscowości: Stronie Śląskie (dwie rodziny) i Stary Gierałtów (3 rodziny).

Środki finansowe, za pośrednictwem Urzędu Miasta Stronie Śląskie, zostały przekazane do miejscowego składu budowlanego (również dotkniętego powodzią), gdzie wytypowane rodziny mogły zakupić opał oraz materiały budowlane potrzebne do odbudowy domu (1), remontu części parterowej domu (1) oraz odtworzenia wjazdów na posesje (3).

Tomasz Ciepły
Łowczy Okręgowy



60 lat Koła Łowieckiego „Cyranka” w Nowym Brzesku



Koło Łowieckie „Cyranka” w Nowym Brzesku ma bogatą historię, a w jego działalności do ważnych należy pielęgnowanie tradycji i wartości związanych z poszanowaniem przyrody, troska o ekosystemy i dbałość o równowagę w środowisku. Koło w 1964 roku założyli nowobrzescy myśliwi i gospodaruje na jednym, polnym obwodzie łowiec-

kim, niegdyś z dominującymi gatunkami zwierzyny drobnej (zając, bażant, kuropatwa i dzikie kaczki), a obecnie zwierzyny grubej (sarna, jeleń i dzik). Od 2000 roku koło posiada własny domek myśliwski w Nowym Brzesku, gdzie mieści się siedziba koła. Od 2004 roku koło posiada sztandar, który został poświęcony podczas obchodów 40-lecia za-



łożenia koła. Koło dba o wartości kulturalne polskiego łowiectwa, także poprzez aktywne kultywowanie tradycji hubertowskich, organizację jubileuszy, spotkań myśliwskich oraz przestrzeganie zasad etycznych i zwyczajów łowieckich. Obecny zarząd koła stanowią: prezes Franciszek Gładysz, łowczy Sylwester Zieleń, sekretarz Andrzej Ryba, skarbnik Barbara Rączka, członek Zarządu Adam Gołębiowski. Koło zostało odznaczone Srebrnym Medalem Zasługi Łowieckiej (2014).

Jubileusz 60-lecia założenia Koła Łowieckie „Cyranka” w Nowym Brzesku obchodziło uroczystie 21 września 2024 roku. Obchody rozpoczęto mszą hubertowską w kościele parafialnym pw. Wszystkich Świętych w Nowym Brzesku, której przewodniczył i homilię wygłosił o. Tadeusz Popiela, kapelan myśliwych Krakowskiego Okręgu PZŁ.

Uroczystościom oficjalnym w domku myśliwskim przewodniczył prezes koła Franciszek Gładysz, który powitał uczestników. W obchodach wzięli udział przedstawiciele władz samorządowych, powiatowych i gminnych. Władze PZŁ reprezentowali wiceprezes Naczelnej Rady Łowieckiej Tomasz Nowak i łowczy okręgowy PZŁ w Krakowie Tomasz Ciepły oraz członek ZO PZŁ w Krakowie Tomasz Karbowniczek. Odczytano listy gratulacyjne, w których podkreślano zasługi my-

śliwych dla społeczności regionu i ochrony przyrody.

W uroczystościach, obok pocztu sztandarewego Koła Łowieckiego „Cyranka” w Nowym Brzesku, uczestniczyli przedstawiciele zarządów kół łowieckich „Batalion” w Krakowie i „Hubert” w Proszowicach z pocztami sztandarowymi. Wśród gości obecni byli leśnicy, rodziny myśliwych i sympatycy łowiectwa.

Wiceprezes NRŁ Tomasz Nowak w przemówieniu okolicznościowym wskazał na potrzebę jedności myśliwych i wspólnych działań na rzecz PZŁ. Łowczy okręgowy T. Ciepły podkreślił zasługi koła w działalności okręgu oraz dla realizacji zadań z zakresu gospodarki łowieckiej. Podczas uroczystości wręczono odznaczenia łowieckie.

Uroczystość uświetnili sygnaliści z Zespołu Sygnalistów Myśliwskich „Królewscy” z Niepołomic, którzy wystąpili także z koncertem muzyki myśliwskiej po zakończeniu części oficjalnej. Obchody zakończyła wspólna biesiada z potrawami z dziczyzny, a także jubileuszowym tortem z symboliką Koła.

Krzysztof J. Szpetkowski
Kronikarz Krakowskiego Okręgu PZŁ
(tekst i fot.)

75 lat Koła Łowieckiego „Szarak” w Jerzmanowicach



Koło Łowieckie „Szarak” w Jerzmanowicach zostało założone w 1949 roku i działało pod nazwą Towarzystwa Łowieckiego „Szarak” w Sułoszowej (1949-1952), Towarzystwo Łowieckie „Szarak” w Jerzmanowicach (1952-1953), „PZŁ Koło Łowieckie w Jerzmanowicach (1953-1960) a od 1960 roku pod obecną nazwą.

Koło prowadzi gospodarkę łowiecką w malowniczym rejonie Jury Krakowsko-Częstochowskiej, w okolicach Jerzmanowic, na jednym polnym obwodzie łowieckim nr 29 Jerzmanowice (Nadleśnictwa Krzeszowice i Olkusz) graniczącym z Ojcowskim Parkiem Narodowym. Działania koła, obok realizacji planów łowieckich

i regulacji liczebności zwierząt łownych, obejmują ochronę łowiska, zwalczanie kłusownictwa, zapobieganie niszczeniu upraw rolnych przez zwierzęta łowne, introdukcji zwierzyny, a także działalność edukacyjną oraz promującą łowiectwo. Koło współpracuje z urzędami gmin w zakresie wykonywania łowiectwa i działalności prospołecznej. Koło od 2014 roku posiada wyjątkowo piękny sztandar, a w 2019 roku w uznaniu zasług zostało odznaczone najwyższym odznaczeniem PZŁ „Złomem”.

Na położonym nieopodal obwodu słynnym zamku w Pieskowej Skale, w otoczeniu przyrody i jaskiń pradziejowych łowców, myśliwi Koła Łowieckiego „Szarak” w Jerz-

manowicach, 26 października 2024 roku, obchodzili jubileusz 75-lecia założenia.

Z okazji jubileuszu uroczystą mszę hubertowską, w asyście sztandarów i sygnalistów w zabytkowej kaplicy św. Michała, wzniesionej przez Michała Zebrzydowskiego w XVII wieku, celebrowali ks. dziekan, Leszek Kołczyk proboszcz parafii Najświętszego Serca Pana Jezusa w Sułoszowej oraz ks. Kazimierz Szczęsny proboszcz parafii pw. św. Bartłomieja Apostoła w Jerzmanowicach. Była to pierwsza po renowacji i 70 latach przerwy msza odprawiona w kaplicy.

W mszy uczestniczyli myśliwi w strojach organizacyjnych PZŁ, brali udział w czytaniu liturgicznym oraz złożyli dary ołtarza. Po mszy zwiedzano wystawę w zamku pt. „Kultura Staropolska”.

Jubileuszowe spotkanie myśliwskie odbyło się w Restauracji Skalny Dwór w Woli Kalinowskiej. Uroczystość prowadził prezes koła Jan Marszałek, który powitał uczestników, w tym Marszałka Województwa Małopolskiego Łukasza Smółkę, który uczestniczył w części obchodów, dyrektor

generalną Małopolskiego Urzędu Wojewódzkiego w Krakowie Lucynę Gajdę – reprezentującą Wojewodę Małopolskiego Krzysztofa Jana Klęczara, posła na Sejm RP Andrzeja Adamczyka, członka powiatu krakowskiego Janusza Pasternaka, wójta gminy Jerzmanowice-Przebinia Tomasza Gwizdałę, wójta gminy Sułoszowa Stanisława Gorajczyka, przewodniczącego Rady Gminy Jerzmanowice-Przebinia Grzegorza Seweryna. Władze Polskiego Związku Łowieckiego reprezentował łowczy okręgowy Tomasz Ciepły, który podkreślił liczne zasługi koła oraz dobrą współpracę. Gośćmi szczególnymi obchodów byli członek honorowy PZŁ i honorowy prezes koła Janusz Szkatuła, honorowy łowczy koła Krzysztof Śladowski, a także były prezes koła Piotr Albrzykowski i wicełowczy Andrzej Polak. W uroczystość wzięli udział przedstawiciele instytucji społecznych i państwowych, Straży Ochrony Przyrody, Powiatowej Państwowej Straży Pożarnej, przedstawiciele dyrekcji zamku w Pieskowej Skale, przedstawiciele zarządów zaprzyjaźnionych kół

łowieckich z pocztami sztandarowymi (kół „Sarna” Czatkowice, „Lisi Jar”, „Towarzystwo Św. Huberta”), przedstawiciele Koła Gospodyń Wiejskich w Jerzmanowicach, członkowie Koła Łowieckiego „Szarak” w Jerzmanowicach z rodzinami, a także za przyjaźniemi mieszkańcy oraz sympatycy łowiectwa.

Uczestnicy jubileuszu z dużym zainteresowaniem oglądali film ukazujący historię koła, specjalnie przygotowany z okazji obchodów. Prezes koła Jan Marszałek podziękował władzom samorządowym za wsparcie, a członkom koła za aktywne zaangażowanie w zakresie gospodarki łowieckiej i działania edukacyjne skierowane do lokalnej społeczności; wskazał na ważne znaczenie łowiectwa we współczesnym świecie i występujące utrudnienia dla działalności myśliwych w Polsce, w tym zwłaszcza zakaz udziału dzieci w polowaniach, projekty zmian ustaw i zamiar wprowadzenia badań myśliwych.

Prezes Koła poinformował o przyznanych członkom odznaczeniach łowieckich: brązowy Medal Zasługi Łowieckiej otrzymali: Rafał Kurzeja, Marek Solecki i Stanisław Szlachta; srebrny MZŁ: Andrzej Brandys i Tomasz Morawiec; Złoty MZŁ Andrzej

Polak. Odznaczenia wręczyli członek honorowy PZŁ Janusz Szkatuła i łowczy okręgowy PZŁ w Krakowie Tomasz Ciepły.

Prezes koła wspominał o jedenastu założycielach koła wskazując na znaczący dorobek 75-letniej działalności, na który pracowało wielu myśliwych. Pamięć zmarłych członków uczczono chwilą ciszy i sygnałem „pożegnanie myśliwego”.

Liczne gratulacje i podziękowania za dobrą współpracę oraz życzenia dalszej aktywności na rzecz polskiej przyrody wyrażali przedstawiciele władz samorządowych i instytucji społecznych, podkreślając zaangażowanie Koła dla realizacji zadań łowiectwa w regionie.

Poseł RP Andrzej Adamczyk wskazał, że myśliwi „to nie są ludzie przypadkowi”, a ludzie „pełni pasji, pracy i marzeń, które potrafią realizować w życiu zawodowym oraz łowieckim; podziękował myśliwym za aktywność działań wobec przyrody; zwrócił uwagę, że polowanie jest naturalną formą aktywności towarzyszącą człowiekowi od zarania dziejów; zaznaczył, że nie zna przypadku, aby ci którzy źle mówią o myśliwych pojechali z karmą do lasu, chcieli pomóc rolnikom, ponoszącym wymierne straty w związku z aktywnością zwierzyny. Poseł

A. Adamczyk, zwrócił także uwagę, że już czwarte pokolenie myśliwych koła wchodzi w okres aktywności, budując fundament dla przyszłych pokoleń i należy pamiętać nie tylko o tych, którzy byli, ale także o tych którzy przyjdą. Podziękował myśliwym za energię, siłę, czas, a także środki finansowe wnoszone w działalność na rzecz ojczyzny przyrody. Poseł wyraził przekonanie o pozytywnej przyszłości dla łowiectwa, życząc myśliwym i kołu dalszego rozwoju. Okolicznościowy list gratulacyjny od Wojewody Małopolskiego odczytała dyrektor generalna Małopolskiego Urzędu Wojewódzkiego w Krakowie Lucyna Gajda. W liście wojewoda przekazał gratulacje dla członków

koła, życząc opieki patrona św. Huberta oraz wiele sukcesów w realizacji i rozwijaniu łowieckiej pasji.

Jubileusz był doniosłym wydarzeniem w życiu koła i społeczności regionu, miał ważne znaczenie kulturalne dla myśliwych i wszystkich uczestników.

W zarządzie koła (od 2021 r.) pełnią funkcje: Jan Marszałek (prezes), Piotr Stach (łowczy), Rafał Kurzeja (wicełowczy), Tomasz Morawiec (sekretarz), Tomasz Pasek (skarbnik).

Krzysztof J. Szpetkowski
Kronikarz Krakowskiego Okręgu PZŁ
(tekst i fot.)





Adam Benedykt Bisping

WĘGIERSKIE ZAJĄCE

P

Polowania na zająca zawsze wywołują u mnie wspomnienia z lat dziecięcych. Pamiętam doskonale pierwszego zająca, którego strzeliłem mając dwanaście lat. Obecnie jest to nie do pomyślenia, gdyż niekonstytucyjne przepisy prawne nie dopuszczają takiej możliwości. Niemniej jednak jako dwunastolatek byłem (i nadal jestem) z tego faktu szalenie dumny i wszystkim o moim szaraku opowiadałem.

Tym razem na polowanie udajemy się we trzech, a moimi kompanami są Witek i Wacek. Witek przyjeżdża do Krakowa swoim samochodem i na drugi dzień zabiera nas na wspaniałą węgierską „myśliwską ucztę”. Organizatorem łowów na koty jest biuro polowań pani Kasi, która wraz z tłumaczem (z języka węgierskiego na polski) jest naszym wspaniałym opiekunem. Pani Kasia od prawie dwudziestu lat organizuje wyjazdy grup myśliwych z Polski, w każdym sezonie po kilka. W trakcie wyjazdu, ze względów organizacyjnych, nasza trójka zostaje dołączona do grupy 9 Francuzów z okolic Lille.

Na miejsce, tzn. do miejscowości Martfu, docieramy w znakomitych humorach. Kwaterujemy się w hotelu Termalhotel i szybko „ładujemy” w łóżkach, bo na jutro czekają nas łowy w Kole Łowieckim „Hivatasos Vadasz”.

O poranku cała nasza dwunarodowa grupa punktualnie melduje się w hotelowym holu w oczekiwaniu na wyjazd do kniei. Po krótkiej węgierskiej odprawie przemieszczamy się dwoma busikami mając nadzieję na piękne łowy. Pogoda wyśmienita, od kilku tygodni nie padał deszcz, ziemia sucha. Miejsce naszych łowów to płaski teren pokryty oziminami, kukurydzianymi ścierniami lub „niestety” orankami, które są trudne do przejścia, ale najbardziej obfitujące w zająca. Teren doskonale „przygotowany” do hodowli zwierzyny drobnej, pozbawiony zupełnie ptaków drapieżnych, nie wspominając o lisach i wałęsających się kotach i psach. Pędzenia odbywają się „czeską ławą”.

W trakcie zajmowania stanowisk pierwszy myśliwy staje na flance (w odległości do 100 m od linii), a następny ustawia się jako pierwszy na linii. Za nim zajmują miejsca dwaj miejscowi myśliwi, bez broni, ale z psami – najczęściej wyzłami węgierskimi – w dalszej kolejności staje trzeci myśliwy, a następnie znów dwóch węgierskich myśliwych. I tak zajmujemy pas o szerokości około 500-600 m, kończąc ostatnim myśliwym na flance. Po zajęciu stanowisk wszyscy bardzo wolno poruszamy się do przodu płosząc jednocześnie zająca, zrywające się spod naszych nóg. Większość zajęcy ucieka do przodu, część jednak także do tyłu. Strzelamy w marszu, co dla polskiego myśliwego jest bardzo trudne, ponieważ nie jesteśmy przyzwyczajeni do strzelania do uchodzących szaraków. W przypadku postrzałka puszczany jest pies, który po krótkim pościgu aportuje zająca. Mioty mają długość średnio trzy do pięciu kilometrów.

W trakcie pierwszego dnia upolowaliśmy 166 zajęcy, a w drugim 104, co dało wspaniałą wynik 270 zajęcy, w tym nasza trójka upolowała w sumie 50 szaraków. Po każdym dniu polowania został ułożony imponujący pokot. Z sentymentem wspominałem wtedy moje polowania z przełomu lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych ubiegłego wieku odbywające się niedaleko Proszowic, podczas których strzelaliśmy po ponad sto zajęcy dziennie. W trakcie pokotu odbył się chrzest kilku kolegów z Francji, którzy po raz pierwszy w swym myśliwskim życiu pozyskali zająca. Rytuał ten na Węgrzech jest odmienny od naszego. Tutaj myśliwy kłęczy przy swym zającu, a osoba celebrująca wymierza mu różgą symboliczne razy w tylną część ciała, w miejsce, gdzie plecy tracą swą szlachetną nazwę.

Jeśli nie dla bogactwa szaraków to dla tego widoku warto odwiedzić węgierskie łowisko.

Darzbór



Okręgowa Kapituła Odznaczeń Łowieckich w Krakowie w składzie:

1. Mieczysław Ozimiński — przewodniczący
2. Anna Ochman — sekretarz
3. Roman Barbasz
4. Marek Kubis
5. Bronisław Małek
6. Krzysztof Sawicki
7. Krzysztof Szpetkowski

informuje o przyznanych odznaczeniach osobom, myśliwym i kołom łowieckim w okresie od lipca do grudnia 2024r

Złom

Ryszard Bartoś, Marian Jarzynowski, Adam Karkosza

Złoty Medal Zasługi Łowieckiej

KŁ „Modrzew” w Krakowie,
Bogusław Budzowski, Andrzej Cisowski, Tomasz Janiszewski,
Włodzimierz Kucia, Henryk Kuśnierz, Andrzej Polak

Srebrny Medal Zasługi Łowieckiej

KŁ „Jarząbek” w Krzeszowicach,
Zbigniew Banaszewski, Andrzej Brandys, Marek Burowski,
Krzysztof Cieślik,
Piotr Fyda, Stanisław Gala, Tomasz Morawiec, Anna Ochman,
Marian Pasierbek, Bogusław Skowronek,

Brązowy Medal Zasługi Łowieckiej

Jerzy Bieniek, Mariusz Bukowiec, Andrzej Góra, Andrzej Górka,
Marian Gruchała, Marek Hareńczyk, Rafał Kurzeja, Wacław Machowski,
Roman Marek, Jerzy Ostrowski, Marek Solecki, Stanisław Szlachta,
Krzysztof Szumiec, Piotr Targosz, Jacek Wojewódzki

Odznaka za zasługi dla Łowiectwa

Jarosław Okoczuk, Monika Tokarczyk

Opracowała: Anna Ochman



Marek Tabor 1956-2024



Wspomnienie

2 września 2024 roku do członków Koła Łowieckiego „Leśnik” w Krakowie dotarła ta smutna wiadomość, o śmierci Kolegi Marka Tabora, który odszedł od nas nagle, po ciężkiej chorobie. Wiadomość wśród członków koła wywołała konsternację i niedowierzanie.

Marek Tabor był członkiem Polskiego Związku Łowieckiego od 37 lat, a 35 lat życia poświęcił aktywnej pracy w Kole Łowieckim „Leśnik” w Krakowie. Przez wiele lat pełnił w Kole funkcję łowczego, w wyjątkowy sposób angażując się w rozwój gospodarki łowieckiej. Nie sposób dziś wymienić wszystkich podjętych przez niego inicjatyw i działań, jednakże to jego pasja i zaangażowanie w łowiectwo całym sercem sprawiły, że miejscowa społeczność zamieszkująca w obwodach, postrzegając myśliwych jako osoby, dla których troska o przyrodę i środowisko naturalne jest sprawą najważniejszą. Marek tworzył pozytywne relacje z rolnikami i plantatorami, co w znaczny sposób wpływało na zrozumienie dla spraw łowieckich i ich ograniczone roszczenia wynikające ze szkód łowieckich. Przecież to on właściwie budował charakter naszego koła, tworzył wyjątkową atmosferę naszej myśliwskiej wspólnoty.

Marek zasłużył się jako edukator młodzieży, przez kilkanaście lat brał udział w ogólnopolskiej akcji „Ożywić Pola” prowadzonej przez redakcję „Łowca Polskiego”, jako jeden z koordynatorów. Prowadził prelekcje na tematy przyrodniczo-łowieckie w szkołach. Wspólnie z dyrekcjami i nauczycielami pięciu szkół powiatu miechowskiego organizował akcje z udziałem dzieci i młodzieży obejmujące sprzątanie lasów,

nasadzeń i tworzenia remiz, a także organizował wyjazdy z młodzieżą na wystawy i targi łowieckie. Po akcjach organizował wspólne ognisko poświęcając wiele czasu i serca edukacji dzieci i młodzieży. To jego zaangażowanie w dużej mierze przyczyniło się sukcesów Koła.

Marek Tabor głębokim szacunkiem darzył myśliwych i doceniał wnoszony wkład pracy dla łowiectwa. Był opiekunem i wprowadzającym w arkana łowiectwa wielu stażystów oraz służył pomocą młodym myśliwym. Dowodem uznania dla jego zaangażowania w łowiectwo były medale: brązowy i srebrny Medal Zasługi Łowieckiej oraz brązowy i srebrny dla Łowiectwa Kielecczyzny, jak również powierzona funkcja delegata Koła na Okręgowy Zjazd Delegatów PZŁ.

W pracy organizacyjnej dla łowiectwa zawsze można było liczyć na jego pomoc.

Własnym przykładem i zaangażowaniem dał nam wszystkim poznać, jak wiele może uczynić dla własnego środowiska oraz ogółu społeczeństwa.

Zegnając naszego Kolegę Marka Tabora 6 września 2024 roku na cmentarzu parafialnym w Książu Wielkim – ksiądz kapelan koła Krzysztof Gadowski, proboszcz parafii w Pstroszycach, podniósł jego szczególne zasługi dla społeczności lokalnej i polskiego łowiectwa.

Takie postawy i działania we współczesnych realiach i zasługują na szczególne uznanie.

W imieniu myśliwych KŁ „Leśnik” w Krakowie

Prezes Zbigniew Skowronek



PATRYK SIKORA

ZIMA



ZIMA

PATRYK SIKORA



Spis treści:

Kolejne wieści z piaskownicy Mikołajka (już bez Olusia) Marek Wajdzik	3
Dzicze „myłkusy” czyli o anomaliach oręży słów kilka Dariusz Knap	4
Kulisy wegańskiej krucjaty Jarosław Całka	8
Studencka naukowa wyprawa Kraków - Afryka Wschodnia 1974 Marek Piotr Krzemeń	16
Kacze łowy Zbigniew Ciemniwski	28
Jesień Patryk Sikora	38
Pielgrzymka do grobu św. Huberta na 100-lecie PZŁ Marek Kubis	40
Czy muflony z gór Sowich znikną na stałe? Adam Benedykt Bisping	48
Na bekowisku Ryszard Adamus	50
Koło Łowieckie Jarząbek w Krzeszowicach Sławomir Buśko	54
60 lat Ł. Cyranka w Nowym Brzesku Krzysztof Szpetkowski	60
75 lat KŁ Szarak w Jerzmanowicach Krzysztof Szpetkowski	62
Węgierskie zajęcia Adam Benedykt Bisping	66
Wykaz odznaczonych medalami za zasługi dla łowiectwa Anna Ochman	68
Marek Tabor - wspomnienie Zbigniew Skowronek	69
Zima Patryk Sikora	70



WYDAWCA

Zarząd Okręgowy
Polskiego Związku Łowieckiego
w Krakowie
ul. Żywiecka 12
30 - 427 Kraków
tel 12 634 25 34
e-mail: zo.krakow@pzlow.pl

REDAKTOR NACZELNY

Marek Wajdzik

REDAKCJA

Ewa Dobrzyńska-Lankosz
Adam Bisping
Roman Barbasz
Bogdan Kowalcze
Henryk Okarma
Wojciech Plewiński
Waldemar Smolski
Andrzej Tomek
Redaktor Graficzny
Hubert Zwinczak

stale współpracują:

Ryszard Adamus
Patryk Sikora

SKŁAD I ŁAMANIE

Hubert Zwinczak

DRUK

Drukarnia Standruk

Redakcja nie bierze odpowiedzialności za treść publikowanych materiałów i reklam, zastrzega sobie prawo nieodpłatnego publikowania nadesłanych artykułów oraz zdjęć, wraz z prawem do skrótów i opracowania redakcyjnego tekstów. Redakcja nie zwraca niezamówionych materiałów.

Zdjęcia na okładce:

Hubert Zwinczak str. 1

Patryk Sikora str. 2

Patryk Sikora str. 4

W tym roku targi HUNT EXPO odbywają się równolegle z:



Festiwal Aktywności Strzeleckich



**Bilet online
w najlepszej
cenie tylko
do 24 marca**



CENNIK:

25.02-24.03 2025 – 25 zł/os.

25.03-24.04 2025 – 35 zł/os.

25-27/04 2025 online oraz
na miejscu – 45 zł/os.

GODZINY OTWARCIA:

25.04.2025 - 12.00 - 17.00

26.04.2025 - 10.00 - 17.00

27.04.2025 - 10.00 - 16.00

Targi
w Krakowie

EXPO
KRAKÓW

Kup bilet online: huntexpo.pl

